

№ 2—3

Cena zł. 2.50



GUSTOWNIE

I

TANIO

UBIERA

KRAWIEC

L.DZIURDA

CHMIELNA 58

tel. 209-37

ROK I WARSZAWA, LUTY — MARZEC 1931 Nr. 2 — 3

FALA

MIESIĘCZNIK LITERACKO-NAUKOWY

OD REDAKCJI

Stosując się do życzenia większości czytelników, redakcja „Fali" poczyni znaczne zmiany w doborze artykułów, nowel i ilustracyj, już od 4-go „wiosennego" numeru pisma w kierunku jego unowocześnienia. „Fala" nadal pozostanie pismem apolitycznem i nadal będzie umieszczać na swoich łamach utwory młodych początkujących literatów.

REDAKCJA



Rzym Nowe wykopaliska na Forum Traianum Enit

RZYM DOBY DZISIEJSZEJ

... Czy Rzym się zmienił?

Paradoksem wydaje się pytanie takie w odniesieniu do miasta, które przetrwało lat kilka tysięcy, a nazywa się „Wiecznem Miastem”.

A jednak — jeśli pominąć oczywiście wiecznotrwałe pomniki dziejowe — nie można nie stwierdzić, że Rzym — owo odwieczne ale i nieprzerwanie żywe miasto — podlega nieuchwytnym wahaniom, rzekłbyś drganiom płatków czułka i z roku na rok zmienia swą fizjognomję.

Zmiany te, niewidoczne na razie, rzucają się w oczy każdemu, kto zna Rzym dobrze, a odwiedza go perjodycznie, co czas pewien.

Oto dojeżdżamy do Rzymu od strony Florencji, ściślej mówiąc, od Orte, z północy czy północo-wschodu.

Już na skraju widnokręgu zaczynają się ukazywać owe dobrze znane płaskokoronne sosny, które u nas nazywają się „pinjami”, a które są charakterystyczne dla pejzażu rzymskiego, tak jak cyprysy — florenckiego.

Już wyrastają odwieczne pamiątki: wodociągi Klaudjusza, świątynia Minervy Medica, przeolbrzymi zwid Świętego Piotra, górujący nad miastem w dali. Rozpoznajemy ze wzruszeniem każdy kamień, każdy kształt, który mówi nieodbicie, że oto znowu jesteśmy w Rzymie, w przecudownym, nieporównanym i nigdy nie dającym się zapomnieć Rymie...

I oto u przedproża jego wyrasta nowe jakieś miasto, którego tu nie było. Szeregi domów obległy Monte Sacro, upamiętnione przypowiastką Menenjusza Agryppy o zbuntowanych członkach. To miasto żółte i pstre, nieosobliwej architektury, nowoczesne w każdym calu — jest to kolonja urzędnicza, jedna z tych nowopowstałych dzielnic, któremi Rzym zaradził powszechnemu głodowi mieszkaniowemu.

Nie jest to bynajmniej jedyne osiedle. Powstało ich mnóstwo w różnych punktach Rzymu. Tutaj wspominam mimochodem o jednym tylko jeszcze: o osiedlu dziennikarzy, na Aventino, w sąsiedztwie pałacu Kawalerów Maltańskich, albowiem tutaj wynalazki najnowszej doby splatają się i kwitną w jednym z najbardziej stylowych i uroczych zakątków Rzymu.

— „Ileż tutaj nabudowano“!

Wykrzyknik ten wyrywa się na każdym kroku z ust przybysza. który bodaj pobieżnie odwiedza Rzym. Ileż gmachów publicznych, szkół, domów dla ludności biedniejszej! Wszędzie widać rusztowania, wszędzie wre praca, wszędzie tworzy się Rzym przyszłości, gdzie będzie lepiej, wygodniej i nowocześniej; tworzy się z pamięcią o następnych pokoleniach i ich zmienionych przyzwyczajeniach i potrzebach, o jutrzejszych rzymianach, którym nie będą już wystarczały kamienne posadzki i tarasy na dachach, ukwieconych różami, pelargonjami i glicynjami!

Ministerjum Wychowania Narodowego, Ministerjum Lotnictwa; szkoły gimnastyczne, nowe gmachy, które regime faszystowski oznacza — jak niegdyś papieże renesansowi — swoim własnym herbem, **fascio littorio:** pękiem rózeg liktorskich — oto co jest wyrazem nowej epoki, oto czem się interesuje Rzym dnia dzisiejszego. Na każdym kroku ma się wrażenie niesłychanego rozpędu, pracy, ruchu i twórczości Tu się burzy, tam się burzy. Mury, znane od dzieciństwa, rudery może i nieestetyczne, ale z któremi zrosły się oczy nasze i samo pojęcie „Rzymu“ znikają bezpowrotnie, pozostają luzy powietrzne i otwarte przestrzenie. Pozostają nie na długo! Tam gdzie się burzy, zaraz buduje się nanowo. Wyrastają gmachy piętrowe, odsłaniają się nowe perspektywy i nowe zarysy miasta. Objawienie nowej piękności ma się np. z tarasu Pałacu Caffarelli, w sąsiedztwie Kapitolu. Jak okiem sięgnąć — u stóp nieprzeliczone dachy starych pałaców z ulatującemi ku niebu skrzydlatemi Wiktorjami. Widok to jakiemu nie wiele znajdziesz równych na świecie. Nie można oprzeć się pełnemu zachwytu westchnieniu: „Tak, jest to zaprawdę Miasto Cesarskie, Città Imperiale!

Idźmy do willi Borghese. (Willa Umberta I-go).

Pod przepysznym starodrzewem zielenieją wspaniałe trawniki dla najmłodszych dzieci. Opodal liczne place i courty dla starszych. Młodzi Rzymianie dnia dzisiejszego nie mają już ani cienia ociężałej gnuśności starszego pokolenia. Synowie żołnierzy Wielkiej Wojny są sprężyści, dziarscy, wysportowani, maszerują w karnych szeregach, pełni werwy i radości życia, pełni dumy z tego co jest i nieprzebranych pragnień na jutro!

My, z naszą subtelnością, przewrażliwieniem i neurastenją, stajemy się coraz bardziej przeżytkiem, którego ci najmłodsi wcale nie rozumieją!

W Rzymie, od niepamiętnych czasów mieszkało zawsze mnóstwo Anglików i Amerykanów. Sądzę, że stolica Włoch Zjednoczonych upodabnia się coraz bardziej do ich metropolji! Co do sportów — napewno.

Dość wyjechać w niedzielę za miasto.

Nigdzie, poza Londynem, nie zdarzyło mi się widzieć takiego zainteresowania, takiego zapału, takich okrzyków, tak namiętnie wyrzucanych pod niebo piłek.

W przeróżne strony ciągną niekończące się drużyny sportowców. Wszędzie, co krok, co chwila jakieś zapasy, wyścigi, zawody.

Po asfaltowanych, idealnie utrzymanych drogach, śmigają samochody, motocykle. A jeżeli

puścić się jeszcze trochę dalej, tam gdzie na krańcach zaczyna błękitnieć smuga morza Śródziemnego, nie sposób wyszczególnić łódek, motorówek, hydroplanów!

My, którzy ukochaliśmy Rzym przedwojenny, z melancholją może myślimy o tem, co już nie wróci, o arystokratycznym wyglądzie Pincio, gdzie wytworne pojazdy o rasowych rumakach odbywały tradycyjne przejażdżki w słoneczne dnie zimowe, o tym salonie na powietrzu otwartem, gdzie piękne panie oglądały się nawzajem i lornetowane były przez złotą młodzież.

Dziś na ulicach, na które spoglądają ozdobne okna pałaców renesansowych i barokowych, śmigają djabelsko samochody w rozmaitych kierunkach, a tylko niesłychanej zręczności szoferów zawdzięczać należy, że co krok nie zdarza się kilkanaście nieszczęść i wypadków! Większość dawnych ulic w Rzymie nie posiada chodników oddzielonych od jezdni. Ludność jest nonszalancka i dotąd jeszcze nie przyzwyczaiła się do pewnika, że wehikułom należy ustępować z drogi. Za dawnych, a nawet nie za tak bardzo dawnych lat — zanim wojna nie przekreśliła grubą linją nawyków wczorajszych — prawowity Rzymianin z ludu — Romano di Roma — chodził sobie po mieście jak mu tam dogadzało, jak mu nakazywała fantazja, na prawo czy na lewo, stosownie do kaprysu, nie zastanawiając się nad kierunkiem ani nad koniecznością podlegania jakimkolwiek przepisom. Na pokrzyki woźniców nie reagował; od potrzaskiwaniabiczem odganiał się, jak od brzęczenia natrętnej muchy. Szedł sobie władczy i niepodległy, król ulicy rzymskiej, nucąc lub zgoła śpiewając (l'amore, miłość, rozlegało się wtedy co słowo)! To też najczęściej vetturino (woźnica) któremu się spieszyło, objeżdżał dokoła piechura, nietykalnego, niezależnego i pysznego w swej godności civis romanus!



Rzym Papieski. Kościół św. Piotra i Pawła

Citta del Vaticano Enit

Niechnoby tak popróbował chodzić dzisiaj!

Pamiętam dawne, komiczne, a ujmujące obrazki gdy dorożkarz drzemiący na koźle, na widok przechodzącej cudzoziemki wołał z wysokości. „Pst, pst, madama, vettura"! lub kiwał palcem na nią, ale sam nie raczył podjechać: musiałby na to ruszyć się, przerwać, może bezowocnie, drzemkę, lub pogawędkę z kolegą: jeżeli „madama" chce, to niech sama sobie podejdzie!

Skończyły się te czasy arkadyjskie!

Szofer amerykański wyrugował bezpowrotnie poczciwego gadułę, co to nigdy nie wiedział ile mu się należy, nigdy nie miał reszty, obwoził forestjera (cudzoziemca) po placach i ulicach, opowiadał dzieje napotykanych po drodze pałaców, następcę tronu nazywał „el ragazzin" (chłopczyk) zawoził obcego do **trattorii** specjalnie rzymskiej na **vongole** lub „pizzę" **romana,** zakropioną złotem winem **dei Castelli Romani,** a ululanego odwoził troskliwie do domu, czuwając nad całością jego portfelu i za napiwek obsypywał błogosławieństwem jego, jego żonę, dzieci i wnuki, aż do piątego pokolenia, wyrażając przytem niezłomną nadzieję, że całe to potomstwo cudzoziemskie tylko jego szkapą posługiwać się będzie, gdy się zjawi tutaj z mglistej Anglji! (Bo każdy cudzoziemiec dziś jeszcze w zapadłych zakątkach Włoch jest Anglikiem, brząkającym złotymi suwerenami i nikt by nie uwierzył gdyby mu się napomknęło o płótnie w kieszeni).

Dziś, na ulicach Rzymu, stylowy, tresowany i musztrowany przez policję szofer zastąpił dawnego niefrasobliwego Rzymianina o złotem sercu! Giną na każdym kroku tradycje, sięgające nieraz średniowiecza, niaraz może obyczajów starożytnych, które pozostały nieświadomie we krwi!

Już nie widzisz na przedmieściach dwukołowych wozów z winem, malowanych ozdobnie, zaprzężonych w muły, obwieszonych kokardami. Nie słychać pokrzyków tradycyjnych. Minęło, minęło!

Wszystko wyrugowały samochody, kamiony prozaiczne ale szybkie; autobusy cuchnące, ale zharmonizowane z wymogami doby dzisiejszej. W takt do tego i rytm Rzymu się zmienił. „Niema już dawnej, tak charakterystycznej i tak miłej „flanerki" po zaułkach sławnych, unieśmiertelnionych historją lub pobytem znakomitych ludzi. Obywatele Rzymu spieszą się, pilno im teraz, a że dawne gadulstwo pozostało jeszcze im co nieco

we krwi, muszą nadrabiać czas stracony; więc pędzą jak szaleni, potrącają bliźnich, zapominają gdzie trzeba iść na prawo, a gdzie stąpać lewą stroną ulicy, cisną się do tramwajów i autobusów, kłócą się z zastępującymi im drogę, wymyślają szoferom, którzy nie zwracają uwagi na ich znaki, aby przystanęli.

Ach, te autobusy rzymskie!

Rok minął, gdy pewnego pięknego poranku obywatele Wiecznego Miasta obudzili się w obliczu — autobusów.

Jak za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej poznikały nagle poczciwe żółwie — tramwaje, poznikały szyny, i wycofane z obiegu stare wagony, które pełniły obowiązki poczekalni na Piazza San Silvestro; wagony tak dobrze znane dziennikarzom, którzy spieszyli do swego syndykatu, do „Sala Stampa" na poczcie głównej.

I to już dziś jest historją: jednym więcej dokumentem starego Rzymu, który znikł i nie wróci.

Na ulicach rozpanoszyły się współczesne autobusy, które skróciły dwu i trzykrotne odległości, kasując niewygodne i kosztowne przesiadania „biglietto orario". Nie można oczywiście na to narzekać.

Ach, ale jak żal tego Rzymu wczorajszego, ze wszystkiem co miał w sobie poezji! Jakże żal tego jedynego na świecie miasta, które kojarzyło tak przedziwnie, z takim urokiem, dzieje odległej starożytności z życiem dzisiejszem, a raczej, dla nas już wczorajszem! Tego uroku, którego nikt nie umiał dotąd odtworzyć, nie zapomni się nigdy!

Stacja prowizoryczna w starym wagonie na Piazza Silvestro o dwa kroki od kipiącego życiem Corso, to był sam w sobie poemacik. Ileż par zakochanych znajdowało tutaj przytułek! Obraz ten wiąże się w mej pamięci z pękami róż wiosennych, z szeptami półgłośnemi w wieczory majowe, z nieśmiałymi uściskami rąk szukających siebie wzajem, z zielonymi zmierzchami nieba nad wybłyskującemi gwiazdami.

Pomiędzy starymi pałacami zatapiającej się w mroki URBE, upojone młodością pary odgrywały bezwiednie powtarzające się od tysiącoleci misterjum. Pary pogrążone w sobie, obce wszystkiemu, co nie było ich miłością, tutaj dręczyły się zazdrością, niepokojem i podejrzeniami, porzucały się w gniewie i powracały do siebie, pogodne i kochające.

Stolica, która zdawała się być dobrotliwą matką, przyjmowała w swe łono wszystkie te żale, obawy i zachwyty, i nakrywała wszystko całunem pachnącego wieczoru rzymskiego.

Dziś — widnieją tylko puste ślady po zerwanych szynach. I groby. Nie doczekało wielu, wielu ludzi tego nowego odrodzenia ukochanego Rzymu. Pamięć pragnęłaby cofnąć wszystko i wymazać to co było — i co nie wróci...

Nie wróci...

Nigdzie może tak silnie, jak w Rzymie nie odczuwa się boleśniej straszliwej prawdy upływającego czasu i boleści zagasłych uroków. „Nessun maggior dolore..." powiedział Dante, który był w piekle i wiedział...

* * *

Pierwsze chwile inwazji benzynowej były iście tragiczne!

Nikt nie wiedział dokąd jechać i jak jechać! Ileż było narzekań na nowe niepotrzebne porządki! Rzymianin nie chce „z żywymi naprzód iść" i musi się wykrzyczeć, zanim przyjmie i zaakceptuje nowość. Ale obecnie już wszyscy się przyzwyczaili, wskakują i wyskakują z autobusów z nonszalancją, jakby to czynili od stuleci.

Jest inna plaga, którą sprowadziły te nowe środki lokomocji. Rzym jest dzisiaj piekłem wrzasku. Bardzo cichy, coprawda, nigdy nie był, temperament ludności wylewał się tutaj zawsze z zupełną swobodą, bodaj od czasów króla Serwjusa Tullusa! Ale inna rzecz gawędy, a chociażby i kłótnie w melodyjnem narzeczu „romanesco", a co innego obecne nieprzerwane nieustające trąbki, sygnały i klaksony, podobne do ryków wściekłej krowy! Od wczesnego ranka do późnej nocy uszy nieszczęsnych mieszkańców śródmieścia wytrzymują próbę wytrzymałości! Jest to poważna plaga, a niema przed nią ucieczki, bo Rzym wciąż się będzie rozrastał i coraz liczniejsze będzie miał autobusy! Chyba — że uciekniemy pod niebo, co wobec wspaniałego rozwoju lotnictwa włoskiego, zdaje się być nieuchronną przyszłością.

* * *

Oddawna już w Rzymie rozróżniano wyraźnie trzy miasta: Rzym starożytny, (republikański i cesarski) papieski i nowożytny. Teraz przybył czwarty: Rzym Mussoliniego.

Powiedział jakiś dziejopis sztuki, że aby zrozumieć barok, trzeba oglądać go w Rzymie. Kolumnada przed Ś-tym Piotrem ma w sobie krągłość szat duchownych. Rzeźby Berniniego nadają charakter pałacom i mostom, który mówi więcej niż tysiące tomów. Obecnie tworzące się miasto dąży wzwyż linjami prostemi. Nie chcę być barbarzyńskim prorokiem, ale kto wie, czy nie ujrzymy w bliskiej może przyszłości — drapacza nieba? Rozkochani w klasycyzmie wstecznicy będą krzyczeli na alarm, ale — jeżeli już dziś jedziemy autobusem do Termów Caracalli i na „Passeggiata Archeologica"... Czyż można przewidzieć jaką linję przybierze jeszcze stolica młodego i tak silnie rozradzającego się Państwa? Trzeba z żywymi naprzód iść...

Rzeczą charakterystyczną, co więcej, wzruszającą, jest pietyzm i kult dla wielkiej przeszłości Miasta.

Rząd popiera i opieką otacza wszelkie zdobycze archeologji, wszystko co może rzucić światło na najdrobniejszy szczegół dziejów. Lud prosty nawet, niewiele wiedzący o wszechludzkiem znaczeniu dla cywilizacji swojej ROMA ETERNA instynktownie je wyczuwa i chlubi się, jak osobistem powodzeniem, każdym okruchem, który może pomnożyć chwałę stolicy. I jak niegdyś panem Acircenses, daje się obecnie plebsowi, oprócz gmachów i ulepszeń, które stawiają Rzym w rzędzie pierwszych stolic świata, skarby przeszłości, odkrycia archeologiczne, głęboko ukryte przez ciąg stuleci, pod warstwą ziemi. Coraz ujawnia się oczom to, co dotąd znane było tylko z pism historyków rzymskich.

Ziemia, po której się stąpa, jest zaprawdę święta w znaczeniu cywilizacyjnem, jest niewyczerpana, ukrywa coraz nowe możliwości i nie dziw, że do niej ściągają tłumy z całego świata!

Obecnie po zburzeniu bezwartościowych ruder około Forum Romanum, przy ALTARE della PATRIA, obok Palatynu, około Teatru Marcellusa, na Largo Argentina powstały nowe świątynie, nowe zabytki budownictwa, które uczeni studjują a lud podziwia!

Aby zaś przerzucić się znów poprzez dzieje w ostatnią dobę i dać tem świadectwo niepożytej trwałości Rzymu i jego wiekuistej żywotności, wspomnijmy o świeżo założonej rozgłośni radjowej w Città del Vaticano, państwie papieskiem, zaczynającem się zaraz za Ś-tym Piotrem. Stąd, dnia 12 lutego Papież wygłosił przemówienie do całego świata, życząc pokoju „biednym i uciśnionym, panom i podwładnym" i przesyłając błogosławieństwo apostolskie urbi et orbi!

* * *

Cóż pozostało z dawnego Rzymu, któryśmy tak ukochali, za którym tak tęsknimy, i pomimo wspaniałości ostatniej doby, zapomnieć nie możemy?

Ulica.

Owa ulica nieporównana, samoistna, pełna czaru i wdzięku, nie dająca się porównać z niczem na świecie! Niezależnie od pałaców Odrodzeniowych i barokowych, od muzeów i dzieł sztuki, od skarbów dziejowych i kulturalnych, ulica rzymska, ze swym brudem i chaosem, jest sama w sobie dziełem sztuki, w którem rozkochać się można na śmierć.

Kocha się te zatłoczone i urągające wszelkim przepisom sztuki chodniki; kocha się dumnych, zuchwałych, przepysznych vecchi romani o czarnych oczach, których ruch każdy jest jakby powtórzeniem pozy senatorów z posągów w muzeum Watykańskiem. Kocha się ich bezkrytycznie i bez rozumowania, z wadami i zaletami, ze złotem sercem i nieświadomą dumą byłych Królów.

Nie dziw więc, że wyjeżdżając z Rzymu, najbardziej krytyczny sceptyk XX wieku bieży chyłkiem do Fontana de Trevi, by tam pogrążyć w wodzie swego solda, co ma być podobno najpewniejszą wróżbą, że się tu kiedyś jeszcze wróci...

Marion

H E J!

Hej, krępują szatki strojne,
Hej, polecieć konno w dal!
Życie młode, życie zbrojne,
Życie skrzące, niespokojne,
Życie kute, ostro kute w gibką stal!

Hej życie pieśnią
Na wiatry rzucone —
Życie żadną pleśnią
Nie skażone!

Na złotych podkowach
Do Madrytu wjadę
Na czerwonych osnowach
Zbuduję balladę

Konia każę podkuć
W przydrożnym zajeździe,
Wysłucham wyroku
W rozbójniczem gnieździe...

Czemuż moje słowa
Tylko są słowami —
Czemuż się odnowa
Duch ludzki nie zmami?
Czemuż się nie uczy
Dzisiaj człowiek wiedzy
Jak to wicher huczy
Na przydrożnej miedzy?.

Czemuż spory w sądach,
A szpady nie dźwięczą?
Na dalekich lądach
Sny się nie roztęczą...

Hej, krępują szatki strojne
Hej polecieć konno w dal!
Życie młode, życie zbrojne,
Życie skrzące, niespokojne,
Życie kute, ostro kute,
W gibką stal.

H. Radziukinas



Wojciech Brydziński Fot. Malarski



Teatr Nowy „Mam prawo odejść"
Majdrowiczówna i Brydziński Fot. Malarski

ALGOLAGNJA W TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

ALGOLAGNJA*) w twórczości Stefana Żeromskiego. (Streszczenie odczytu, wygłoszonego w Uniw. Warsz. w Sekcji psychol. Koła fil. M. Warszawy — dn. 23. VI. 1930 r.).

Twórczość Stefana Żeromskiego, pełna poezji przecudnej i natchnienia najwyższego lotu, ma tendencje—acz często nierealne—zawsze jednak nader szlachetne.

Jeśli dziś zatem z dziedziny bogatego erotyzmu, którym tchnie ta twórczość w najszerszej skali, biorę tylko dwa te szczegóły, które w pojęciu tytułu wyróżniam, to nie dlatego, bym dla czczej oryginalności barwić miał nieskalane piękno odcieniem zwyrodnienia, lecz dlatego, że pojęcia owe—obok mnóstwa innych z najróżnorodniejszych dziedzin—są też istotne w twórczości największego poety romansu polskiego. Najcelniejszy dotąd badacz Żeromskiego, Adamczewski, podkreślił silnie erotyzm Żeromskiego i rozmach pisarski w tym kierunku—podziału jednak na sadyzm i macochizm, tak charakterystyczny, nie przeprowadził wyraźnie, tak, że uważam podkreślenie ich essentialiów u Żeromskiego za istotnie potrzebne.

Żeromski czuł piękno erotyzmu, jakim tchnie con amore przezeń opisywana przyroda, czuł piękno szlachetnych afektów młodości — starał się chwytać je we wzlocie najwyższym — a, choć często z tendencją ujmował pewne szczegóły erotyzmu, zbliżone do naszego tematu, to jednak równie często wymykały mu się one z pod pióra bez wiadomego zamiaru, stając się poprostu środkiem upustu dla wzburzonego instynktu wrażliwego twórcy, tak wrażliwego, że, gdy odczuwał niemal wszelką pomyśleć się dającą delikatność, tembardziej reagował na zjawy brutalstwa.

Choć sadyzm i macochizm (tak czysty, jak i pochodny) występować może tak u mężczyzn jak i u kobiet, a pewne pierwiastki obu tych klasycznych zboczeń—w stopniu choćby minimalnym, zależnie od chwili — właściwe są każdemu niemal człowiekowi, to raczej jest normalnie przyrodzonem występowanie pewnych sadystycznych pierwiastków u mężczyzny w stosunku z kobietą, lubiącą w erotyźmie zazwyczaj podlegać. Ale chodzi tu o twórczość Żeromskiego — klasyczne jej odnośne przykłady poprą powyższe twierdzenie i dostarczą arcyciekawego substratu.

Sadystyczne opisy bicia w „Róży", wiązania baronowej w „Białej rękawiczce", bicia błotem w Majewskiego w „Syzyfowych pracach" czyli „Andrzeju Radku" i sceny trylogji mniej są interesujące. Zatrzymuję się głównie nad „Popiołami", „Dziejami grzechu" i „Przedwiośniem".

Gdy weźmiemy z „Popiołów" scenę bicia Michcika i sadystyczną reakcję Olbromskiego, to musimy przyznać, że oćwiczenie przezeń konia jest refleksem jedynie wzburzonych, wstrząsających przeżyć—zupełnie inaczej rzecz się ma z pozosta-

*) t. j. sadyzm i macochizm.

łemi sadystycznemi scenami, które w skrócie przytaczam—z pominięciem niealgolagnicznych, a więc, scena zniewolenia Heleny (Popioły, t. 3 s. 106—7 wyd. Mortkowicz W-wa, Kraków MCMXXVIII).

„Widział, ...,jak ręce zbója zdzierały z niej suknie, szarpały koszulę, a wreszcie to najstraszniejsze, co mógł zobaczyć na ziemi... Dojrzał, że Helena z rąk drugiego zbója, który ją wśród chichotu bandy powtórnie obalić chciał na ziemię, i, jak poprzedni, posiąść, wydarła się... półnaga, skrwawiona, jednym susem... w przepaść".

W krótkim tym a malowniczym obrazku jest ogromna technika skrótu, pełnego ekspresji. Weźmy sam pomysł. Czy wogóle cały ten fakt, — a nadewszystko zbezczeszczenie Heleny—były potrzebne? Artysta oczywiście opisywać może wszystko, opisuje jednak bez wątpienia najczęściej to, co najsilniej nań działa. Marzenia algolagniczne mają to do siebie, że lubią poniżać obrazy czyste i piękne, choćby dlatego, by potem je jeszcze bardziej idealizować. Wchodzą tu w rachubę uczucia wszystkich zainteresowanych w tej scenie; bestjalskie zadowolenie zbójników, ich syte szyderstwo, tragizm splugawionej Heleny i rycząca, duszona rozpacz Rafała.

Przejdźmy do innego obrazu, do zdobyczy w Aragonji i walk tamże (j. w. t. 4, s. 72—80 potem s. 90—5).

„20 kobiet,... starych i młodych... Gromada ta została rozerwana, rozbita na sztuki... Stare i starzejące się wyrzucono za łby, kolbami i kolanem za drzwi. Zostawiono siedem sztuk co najmłodszych...

Na chwilę przerwały ciszę błagania, skamlące szepty.... zaklęcia i szlochy. Wszystko to ucichło, gdy mazowieckie garście ścisnęły delikatne gardziołki Aragonek. Słabe, wypielęgnowane ciała nie mogły się oprzeć powaleniu pięścią na ziemię, nogi ugięły się. Zdarte zostały w mig suknie —". A o Cedrze: „kupa starych i podstarzałych bab.... Zdradziecko go napadły. Leżał... pod istną stertą zwalisk ...wyschłe łapy, knykcie... pantofle.., Ruszył z posad kopiec babski.... wszystek pokład babskiego próchna,... który potem „Maćki" nim zdołały wstać z ziemi, jedną po drugiej we dwu za łeb, za nogi... ciskali na podwórze z 2-go piętra". Potem „nawarzeniu piwa ciociom... i kuku kuzynkom spaniolów" ze strony Maćków — oglądamy panny jerozolimskie": „Zakaz śmiertelny, marzenie, tęsknota. ...Kilkadziesiąt nagich kobiet... pod razami kolby i bagneta skakały dosyć sprawnie. Mniszeczki ...Nie powiem, żeby to im nie sprawiało przykrości, ale nie widzę w nich śmiesznego uporu... najważniejsze to to, że znaczna część ofiar przyjęła tę karę Boską z pokorą i poddaniem się... chętnem a ochotnem sercem. „Rozlega się „kwik" warjatek, jakoby kobył zhasanych... na widok młodych żołnierzy... (potem) ...zażywały rozkoszy z warjatami... wśród ...bezeceństwa". Pierwsza z tych partyj — bo druga przedstawia grozę wojny i obłędu — już samym doborem słów określa stanowisko erotyczne autora.

Przypominam, że w literaturze światowej są już klasyczne opisy napadów na klasztory z dokonywaniem gwałceń, np. scena ze śpiewu XI „Pucelle" Voltaire'a i scena III aktu II „Zbójców" Schillera (o gwałtach w klasztorze Celestynek; przekł. pol. Mich. Budzyńskiego w wyd. Bibl. Narod. s. 99—100 z adn. do w. 571 d-ra Z. Żygulskiego). Gdyby zestawić te trzy opisy gwałtów, toby należało odróżnić bezpośredni opis Żeromskiego od ironiczno-cynicznego smakoszostwa Voltaire'a i sytego brutalstwa w ustach opowiadacza Spiegelberga, największego nędznika z pośród zbójców Schillera. Wszędzie jednak — z jedynym wyjątkiem mniszki — samobójczyni hiszpańskiej u Żeromskiego — widzimy poddanie się kobiet, dziewic, trwożną błagalność, niesprzeciwianie się złu — a nawet, jak później u Ewy Pobratyńskiej w objęciach i uściskach Pochronia — rozkosz, niemi wywabioną. Również, jak Spiegelberg schillerowski szydząc, znęca się nad staruchą przeoryszą klasztoru Celestynek, tak i Żeromski, w scenie rozprawy mazurskiej ze staremi Hiszpankami, jak i w określeniach, rzucanych pod adresem starszych pań w „Przedwiośniu", opisuje je jako wstrętne lub też drwi z nich bezwzględnie.

Jak uczucie erotyczne w nas przechodzi fazy, zależnie od podniet, pikantne lub diametralnie odległe, bo podniosłe — a musi się często wyszaleć w spaźmie miłosnym — tak ujęcie jego w twórczości największego poety romansu polskiego starało się szerokość skali właściwej oddać. Dlatego mamy te tak liczne przeskoki w stadjach i rodzajach upojenia w scenie miłosnej tak dyskretnej, jak dawnej Gintułtówny z Olbromskim, w zachwycie Cedry nad señoritą, w szczęściu scen górskich Rafała i Heleny, w przeżyciach erotycznych zdegryngolowanej nieszczęśnie Ewy Pobratyńskiej, w rozmaitych uniesieniach różnych kobiet Nawłoci i okolicy, i t. d. i t. d. Przyjrzyjmy się zatem z kolei przeżyciom Ewy — oto poszczególne epizody „Dzieje grzechu" (W-wa — Kraków, wyd. Mortkowicza, MCMXXVII s. 100—4, s. 140—4, s. 182—3).

„Została... z otwartemi ustami i rozwartemi oczyma. Dech zamarł w piersiach. Nogi się zgięły. Wicher potężny zapchał płuca... Nie zdziwiła się też, gdy ją chwycił za gardło, rzucił na łóżko, przywalił sobą... powalił i zdusił. Ktoś jest? łkała. Jestem twój pan i basta. Tak będziesz mówiła... Słyszysz? — Słyszę... zdławił i bezsilną położył na łóżku... była już pod nim, we władzy jego potężnych, dzikich, rozkosznych uścisków... z głębi ciała znękanego pieszczotami wywinął się uśmiech i ozdobił usta, napęczniałe od pocałunków,... po-

wietrzny pocałunek złożyła na zmysłowych ustach śpiącego. Uśmiechnął się. Otoczyła go nagiemi ramionami...- zaczął ja prać po twarzy. Policzki strzelały głośno na cały pokój... głowa jej latała bezwiednie w tył i naprzód. Uczuła radość, że już jej przebaczył. Ciepło w ramionach, szum w uszach...".

Adnotacja autora na str. 224—5 „Przedwiośnia" wywołuje wrażenie, że Żeromski naprzód napisał we furji erotycznej szkic sceny Lanry z Cezarym, poczem ze względów przyzwoitości podarł go i użył sobie na ironji na temat pruderji. Żeromski ocenił w pełni urok kobiety i bezwątpienia potrafił go równie dobrze widzieć czystym i zbliżonym do nieziemskości (Helena z „Popiołów", polska heroina „Urody życia", Joasia z „Ludzi bezdomnych"), jak i lubował się — może podświadomie — w pewnem zaczepnem jego ujęciu — a więc w zaczepieniu Polki przez gromadę oficerów rosyjskich w „Urodzie", sprośnem ubliżeniu Joasi przez prowincjonalnego „ibermeusza".

Żeromski, człowiek nad wyraz uczuciowy i przeczulony, serce nienasycone, nie miał daru decyzji. W swej wspaniałej twórczości przedewszystkiem był poetą momentu, mało troszczącym się o równomierne rozmieszczenie efektów artystycznych. W wielu sprawach nader chwiejny, dający stale pierwszy krok uczuciom, oczywiście i do kobiety nie zastosował zasad ściśle logicznej więzi, tylko powodował się wobec niej sercem i zmysłami. Dlatego raz świeci mu ona bielą anioła, raz drugi znowu stacza się w oczach jego, co opisuje mistrzowskim potokiem jędrnych, zmysłowych zwrotów.

Oczywiście, sadyzm „Ballady" Bunikiewicza, patetycznych pism o kobiecie Br. Jasińskiego lub chorwackiego Krleży, jak i scen z „Przedwiośnia", „Wiatru od morza" (umęczenie czarownicy) niema bynajmniej charakteru — że tak powiem — jakiejkolwiek programowości. Sądzę jednak, że nagromadzeniem cytowanych scen wykazałem dużą skłonność Żeromskiego do algolagnji (z sadyzmem u mężczyzn, masochizmem u kobiet). Właściwości algolagniczne, zaobserwowane i wyczute w erotyzmie przez Żeromskiego w większości przypadków podane są trafnie i, choć w pewnem powiększeniu, pozwalają w jego dziełach występować wspomnianym pierwiastkom, to jednak świadczą i w tej dziedzinie o wrażliwości i talencie twórcy.

Jerzy Pogonowski

SEJM DETRONIZACYJNY

Wybuch powstania listopadowego wypadł nieoczekiwanie dla całego polskiego społeczeństwa, najbardziej jednak oszołomioną była Rada Administracyjna; to też nic dziwnego, że pragnęła cały ten ruch ująć w karby i zmienić antydynastyczny charakter powstania przez negocjacje z Petersburgiem. Jednym z autorów, jakie rząd chciał rzucić na szalę w celu unicestwienia całego ruchu, było zwołanie sejmu. Nie był to jednakże sejm rewolucyjny, gdyż nie mógł być odbiciem prądów; nurtujących w społeczeństwie listopadowem, skład jego bowiem był niezmieniony. a na działalność jego widać było piętno lojalności wobec cara. Z drugiej strony w miarę rozwoju wypadków sejm radykalizuje się, a że w okresie tym niema wcale stronnictw politycznych w nowoczesnem znaczeniu (Najlepiej stosunkowo zorganizowany klub patrjotyczny był w gruncie rzeczy wewnętrznie zupełnie rozbity), nic więc dziwnego, że ciało to będzie często podlegało naturalnym zresztą wahaniom. które doprowadzą niejednokrotnie do próby przelicytowania się w radykalizmie z klubem patrjotycznym, — obozem radykalnym, antysejmowym i posiadającym zaufanie ulicy. Widzimy zatem ten jakoby dwuznaczny, a przytem chwiejny charakter Sejmu, który staje się organem rewolucyjnym dopiero po zerwaniu tego bądź co bądź istniejącego wiązadła w stosunku do Mikołaja, a więc po wydaniu dnia 25 stycznia 1830 roku aktu detronizacji dynastji Romanowych.

Jeżeli rozpatrzymy geneze tego doniosłego tak na zewnątrz jak i dla polityki wewnętrznej aktu, to musimy się cofnąć do 20 stycznia, kiedy na posiedzeniu izby, towarzystwo patrjotyczne za pośrednictwem swego Viceprezesa Romana Sołtyka złożyło swój adres z dołączonym wnioskiem detronizacyjnym. Cel tego posunięcia był dość wyraźny. Klub, pragnął opanować wpływ na izby. Sam Mochnacki przewidywał odrzucenie wniosku, miało to jednak dać towarzystwu ważny atut do ręki w jego antyparlamentarnej propagandzie. W razie zaś, gdyby Sejm w obawie przed konsekwencjami przyjął petycje, dałoby to klubowi możność opanowania izb i przekształcenia ich w swe narzędzie. Nie przewidywano naogół, iż Sejm zdobędzie się na odrzucenie petycji, a zarazem przez uchwałę detronizacyjną da dowód swego radykalizmu i uniemożliwi przeciwko sobie zwróconą propagandę.

Posiedzenie Izby Poselskiej w dniu 25 stycznia rozpoczęło się w obecności tłumów publiczności w nastroju szczególnego podniecenia i wyczekiwania. Po rozpatrzeniu jakichś ich zarzutów w sprawie wypłacenia pewnych sum przez Bank Polski na ręce Jeziorskiego, niedawnego delegata rządu do Mikołaja,

Marszałek Ostrowski wezwał do połączenia się z Senatem, pod przewodnictwem ks. Adama Czartoryskiego. Przystąpiono do długiego odczytywania aktów i w znacznej części znanych korespondencji z Petersburgiem. Nastrój w izbie poselskiej staje się wtedy coraz gorętszy, zwłaszcza pod wpływem manifestu Mikołaja; dyskusja kilkakrotnie przerywa odczytywanie aktów. To też tem większe wrażenie w tej atmosferze podniecenia wywołują relacje Jezierskiego, który wraz z Przebywającym do końca powstania w Petersburgu Lubeckim, reprezentował rząd przed Mikołajem. Relacja ta dowodziła, iż delegaci nie zdołali zrozumieć ani swej roli, ani wogóle charakteru wybuchu. Rozmowa Jezierskiego z cesarzem, poprawiona wprawdzie nieco przez późniejszą rozmowę z adjutantem Benkendorffem, miała na celu wykazać Mikołajowi „niewinność narodu polskiego, który postawiony został w obliczu faktu dokonanego — szaleńczego czynu zrewolucjonizowanej młodzieży. Ten ogólny charakter relacji niezbyt harmonizował z nastrojem Izby, oburzonej komentarzami cara iż naród polski pierwszy złamał przysięgę na wierność konstytucji. To też istotnie ciekawym faktem jest, iż po tem wszystkiem, po gorącej obronie kasztelana Kochanowskiego i innych Izba uznała później Jezierskiego za oczyszczonego z zarzutów.

Jednym z najważniejszych momentów na posiedzeniu 25 stycznia jest przemówienie Lelewela które robi wrażenie obrony Lubeckiego i stało się z tego powodu przedmiotem zarzutów jakie poczyniono Lelewelowi ze strony Mochnackiego i innych radykalnych historyków-pamiętnikarzy powstania listopadowego. Mowa ta rzuca ciekawe światło na chwiejność i niepewność w działalności Rządu Tymczasowego w pierwszych dniach powstania i stanowi jakby expose na temat stosunków polsko-rosyjskich w tej pierwszej fazie rewolucji. Mówca wyjaśnia dlaczego rząd czuł się obowiązany zdawać raporty do Petersburga; tu widzimy charakterystyczny dla Lelewela jako teoretyka punkt widzenia, iż w pierwszych chwilach powstania wojna nie zdawała sie zrywać z Mikołajem; myśl była taka: niech Mikołaj król polski wojuje z cesarzem rosyjskim, a sprawa się rozwinie. Słowa te były później powodem wielu ironicznych komentarzy.

Widzimy z tego wszystkiego że jakkolwiek Sejm określił detronizacje „jako skutek jednomyślnie objawionych uczuć", to jednak było tak tylko po części, krok ten przyspieszonym wprawdzie chwilowem uniesieniem był od pewnego czasu oczekiwany i licznie uzasadniony, jako konieczne następstwo poprzednio zaszłych wypadków.

Sprawa detronizacji spotykała się tak w literaturze ówczesnej jak i późniejszej z ostrą krytyką lub gorącą obroną. Sądzić można jednakże, iż skoro uważamy te doniosłą uchwałę w innym stopniu za konieczność dziejową, to możemy zupełnie



Posiedzenie Sejmu Detronizacyjnego (ze zbiorów Rappersvilskich Bibljoteki Narodowej)





Ze zbiorów Bibljoteki Narodowej w Rapersvilu

objektywnie rozpatrzeć dobre i złe skutki, jakie ona wywarła. Przedewszystkiem nie można lekceważyć olbrzymiego, znaczenia propagandowego jakie po złem wrażeniu rokowań petersburskich, oddziałało zwłaszcza na społeczeństwie w Galicji i na Litwie: Z drugiej jednakże strony przyznać trzeba, że był to akt spóźniony, gdyby bowiem nastąpiła wcześniej kampanja wojenna, lepiej przytem przygotowana mogłaby odbyć się nie na polach grochowskich, lecz na Litwie.

Przedewszystkiem jednak zaznaczyć trzeba jak ważną rolę odgrywała polityka zagraniczna przy uchwalaniu detronizacji i odwrotnie też akt ten jest przełomowym momentem w polityce zagranicznej rządu powstańczego nie można jednakże zbytnio przeceniać działalność dyplomacji powstańczej gdyż mogła ona doprowadzić conajwyżej do interwencji dyplomatycznej i to jedynie w wypadku pewnych używanych sukcesów orężnych. W każdym razie w tym czasie próbowano półtajnych rokowań z Metternichem. Rokowania te przeprowadzał w Wiedniu młody Konstanty Czartoryski brat Adama). miał on na celu ofiarować tron polski arcyksięciu Karolowi. Charakterystycznem jest jednakże, iż data zerwania rokowań odpowiada dacie detronizacji; stąd powszechnie panuje pogląd, iż mamy tu pewien związek przyczynowy. Wydaje się jednakże, iż w większym stopniu podziałało na Metternicha nietyle poniżenie powagi tronu i godności ile raczej manifestacja na cześć rewolucjonistów rosyjskich jako dowód społeczno-międzynarodowego charakteru polskiej rewolucji.

Nieco donioślejsze znaczenie miał fakt detronizacji wobec innych mocarstw Zachodu, odwracając nastawienie politycznych rządów w kierunku nieprzychylnym dla powstania. Nie pomogło tu formalne stwierdzenie przyszłego ustroju monarchicznego, jaki pod wpływem Niemcewicza określono dla Polski w akcie 25 stycznia. To też po upadku powstania miał Palmerston zwrócić się do jednego z emigrantów, iż dla gabinetu brytyjskiego akt detronizacji stanowił we wszelkich próbach interwencyjnych niezłomny zapor (une barriere infranchissable). W każdym razie, jak to stwierdził również Tallerand, warunkiem wszelkich negocjacji dyplomatycznych byłoby zawsze uznanie królem polskim Mikołaja, co było dla powstania warunkiem nie do przyjęcia. Podobne zdanie wyraził również syn Ludwika Filipa, ks. Orleański, to też możemy zaznaczyć, że jakkolwiek wszelkie projekty interwencji na rzecz powstania, nigdy nie mogły być brane realnie pod uwagę, to jednak dzień 25 stycznia jest przełomowym momentem w dziejach dyplomacji listopadowej. **S. G.**

MISTYKA MICIŃSKIEGO

Tadeusz Miciński, mistyk i symbolista, poeta ciemności kosmicznych, Tajemnicy, mroków gwiazd — wskazujący Polsce sobie współczesnej jako jedyną drogę — dążenie do odnalezienia jaźni narodu, jest nadzwyczaj trudną do określenia indywidualnością twórczą. Z powodu nieprzystępności mało się nim dotąd zajmowano, a wartoby, bo buduje swe wizje na miarę olbrzymią, rzuca myśli nieuporządkowane, chaotyczne, lecz czasem genjalne, prowadzi myśl daleko i wysoko.

Zasadniczą podstawą mistyki Micińskiego, jak każdej mistyki zresztą, — a na mistyce oparła się cała jego twórczość — jest wiara w moc ducha, twórcy wszystkiego. A więc „wszystko z ducha i dla ducha", ale inaczej, niż u Słowackiego, ciemniej. Miciński staje w obliczu zagadnień, które od wieków dręczą myślicieli, — nie jak prorok, który przejrzał światłość, lecz jak nieznana sama sobie, niespokojna, błądząca dusza ludzka, szarpana przez moce stokroć potężniejsze niezbadane. Nie bada naukowo, choć na naukę się powołuje i sam jest człowiekiem głęboko wykształconym, — na wyżynach czy wśród głębin, przez które prowadzi jego drogą, dusza ludzka przestaje myśleć. I dlatego też niewiele można z tego chaosu wizyj, pojęć i filozofij wszystkich wieków zrozumieć, choć w najbardziej niewyjaśnionych miejcach tych wędrówek czuje się że to było najistotniejszą, żywą prawdą dla poety. Mistrzem mu jest duch wiecznie walczący, Lucifer. Zjawia się pod różnemi postaciami, mówi przez usta ludzi pozornie realnych.

Pierwszy upadły anioł — to duch, walczący o wolność. Miciński ostro i bez litości potępia wszystko, co wolność krępuje w człowieku. Gdzie jest duch, tam niema zakonu. „(Bazylissa Teotanu). Obowiązkiem człowieka i narodu jest znaleźć swą Jaźń, — i iść jedynie za jej nieomylnym głosem. To jest istotna wolność, jedyne rzeczywiste życie. Reszta jest Magją, indyjską złudą. Swoją drogę, odnaleźć, choćby zginąć — oto jest dewiza księdza Fausta, Teufanu, samego Micińskiego." Życie na każdego z nas woła: Bądź mężem i nie idź za mną, tylko za sobą! tylko za sobą! Bądźmy wolni i nieustraszeni, w niewinnej samorodności z siebie samych ronijmy i kwitnijmy... Namiętność lepsza jest od stoicyzmu i obłudy, — być uczciwym nawet w złym — to lepiej, niż zatracić siebie samego w obyczajności, przekazanej zwyczajem. Wolny człowiek może być zarówno złym jak i dobrym, jednak niewolny człowiek jest hańbą natury i w żadnej nie uczestniczy niebiańskiej czy ziemskiej pociesze.

Każdy, kto chce być wolnym, musi stać się nim przez samego siebie, nikomu wolność, jak dar cudowny, nie spadnie w podołek... — cytuje Miciński na wstępie „Księdza Fausta". Zarówno opisy jak myśli, akcja powieści i dramatów — nie mają żadnego gruntu realnego, związku z rzeczywistością. Wszystko, co się dzieje istotnie, odbywa się w czwartym, wewnętrznym wymiarze. To, co postrzegamy zapomocą zmysłów, to zaledwie kropla w olbrzymim oceanie Bytu Poza światem realnym kłębi się chaos. Z tej przepaści, pełnej tajemniczych, kłębiących się mocy biorą początek wszystkie poczynania i w nim się kończy wszystko, co zapoczątkowane zostało w świecie widzialnym. „Życie zanurzone jest w czwartym wymiarze wierzchołkiem stożka, — dlatego dzieją się czasem dziwa". Wszelkie zdarzenia magnetyczne oddziaływują na duchy czujące. Duchy te zdolne są przewidzieć np. mającą się odbyć katastrofę (jak przed zburzeniem Mesyny). Kiedy ciało zatraca swą świadomość zmysłową, człowiek zyskuje wzmożone czucie magnetyczne. Może widzieć rzeczy odległe w czasie i przestrzeni, komunikować się duchowo z ludźmi w innem, oddalonem miejscu przebywającymi.

Akcja utworów polega na wzajemnem ścieraniu się lub popieraniu mocy duchowych. Każda postać ma swoją siłę — o ile nie jest bezduszną karykaturą — siła ta jest ciemnością lub światłem, kieruje ich czynami, nieraz logicznemi wyłącznie z tego punktu widzenia. Czytelnik oszołomiony, porwany dalekiemi perspektywami, jakie się otwierają przed jego wewnętrznym wzrokiem, idzie zrazu za temi mirażami, które mu stają się rzeczywistością. Nagle dotychczasową strukturę burzy jedno słowo, wskazujące, że i te światy, już powstałe — to jeszcze nie jest to, o co istotnie chodzi. Tak np. „Nietota" jest podobna, według określenia samego Micińskiego, słusznie przewidującego, że zwykłą logiczną myślą śledzić za nim niepodobna, — do palimpsestu, na którym znajduje się kilka pism, jedno wyziera z pod drugiego i teksty się mieszają. Nietylko akcje równoległe są ze sobą splątane, lecz nie można znaleźć między niemi żadnego związku, prócz ukrytej myśli poety. W innych utworach, w „Wicie", „Księdzu Fauście"— rzeczywista, dziejąca się w czasie i przestrzeni, akcja, pojawia się tylko chwilami. Wtedy wracamy z dalekich wędrówek, lecz nie na długo. Spotykają się nieznajome osoby i zaczynają mówić ze sobą tak, jakby się sobie wzajem od nieskończonych wieków spowiadały. Brak zupełny motywów walki ducha z materją u tylu mistyków spotykanego, da się wytłumaczyć tem, że materja dla Micińskiego nie istnieje, a raczej nie jest rzeczywistością.

Miciński wierzy we fluidy magnetyczne, reinkarnację, jasnowidzenia — miłość, nawet zmysłowa, ma w sobie silny podkład mistycyzmu. Wszystkie religje świata łączą się ze sobą: Aryman i Ormuzd, Chrystus i Lucyfer — nazwy są

różne, istota ich ta sama. Nie wahając się nazwać Chrystusa bratem Lucyfera, Miciński tak określa różnicę między nimi: „Jak Chrystus rządzi w sferach religji naszych uczuć, — w sferach miłości, wyższej nad zmysłowość, — tak Lucyfer jest królem naszych jaźni w dziedzinie wiedzy... — Lucifer wywoływał wiedzę jaźni i gasił ją w czeluściach żądzy, egoizmu, zwątpienia, zgonu i nicości, — Chrystus... — rzucał błękitny promień Królestwa jasnowidzeń dla Świętych Obcowania. „Miciński nie uznaje żadnych dogmatów, ani kanonów — czy to kościelnych, czy innych. Dla niego „nie istnieje żaden nakaz zewnętrzny", — martwa litera prawa, jeśli nie jest prawdą istotną, w głębi ducha znalezioną przez nas samych — nie ma władzy. „Świat nie jest zbyt głęboki, żeby można było podłożyć pod niego morał. „Duch potężny i wolny, wolności swej szukający własnemi drogami, — to wszyscy buntownicy samotni. Miciński należy do tych, o których pisał Słowacki". Jedni są, którzy podług przepisów swoich ksiąg lub księży prowadzą się na ziemi, — nie myśląc wcale o duchu samodzielności — drudzy, którzy w sobie poczuwszy ducha, z którejkolwiekbądz wiary, chcą iść wyżej i Boga szukają. W całej twórczości Micińskiego rozbrzmiewa jeden z najpotężniejszych hymnów na cześć walki, walki wolnej woli człowieka z mocami nieznanemi, jego przewagi nad wszystkiem, co żyje, — że może wybierać, i którąkolwiek drogę — zło czy dobro — obierze, — własną siłą ją znajdzie. Duma i cały tragizm takiej samotności czaruje, czaruje zgubnie, lecz silnie. A i czytelnik, jeśli choć raz jeden w życiu zastanowił się nad tem nieznanem, które jest po tamtej stronie, pozna czar przepaści, czar Niewiadomego. Miciński staje wobec światów, urągających małości człowieka swym ogromem i tajemną wiedzą, jako wcielenie duszy, przez walkę i błąd idącej ku prawdzie.

Gwiazdy wydały nademną sąd:
wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd.
Ty budowniku nadgwiezdnych wież
będziesz się tułał jak dziki zwierz —
zapadnie każdy pod tobą ląd —
wśród ognia zmarzniesz, stlisz się jak lont.
A gwiazdom odparł królewski duch:
wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd.

Ta walka tylko dla silnych, dla ciemnych duchów — opętany obłędem kosmicznym Lucifer-Miciński ostrzega: Nie idźcie w mistykę — chyba jeden na miljon.. Nie idźcie za mną nie idźcie — żywi niech żyją... „Ten, kto chce zwyciężyć swój los — musi stawić ołtarze luciferowemu światłu".

W Młodej Polsce symbolizm był kultywowany powszechnie — łudzono się, że przez symbol można wyrazić choć cząstkę niewyrażalnego. Miciński sięga po symbole wszystkich cywilizacyj świata, wszędzie odnajdując walkę ducha z tajemnemi siłami, których zwieranie się stanowi Kosmos. W tych przepaściach myśli ziemia ginie z oczu, giną wszelkie podstawy, tylko duch, czujący silnie swe własne istnienie, odrębność swoją od wszystkiego, co nim nie jest, może wejść na tę drogę.

Swego rodowodu duchowego szuka Miciński w najstarszych dziejach myśli, z bram czarnych idę Babilonu... Przez wszystkie wieki wędrująca i walcząca dusza kieruje narody do ich niezmierzonych celów. Celem tym jest odnalezienie swej Jaźni, i słuchanie jej nieomylnego głosu. Mistrzem jest ten, kto żyje w sercu wszystkiego, co istnieje. Ten jedyny ma prawo powiedzieć ja jestem Tamto, Otchłań i Ja — jesteśmy jedno. Ten mistrz — to Lucifer, który prowadzi zawsze na ścieżyny samotne, gdzie jednak wszechświaty ludzkie spotykają się ze sobą. Jeśli dochodzi się do poznania absolutu wtedy, kiedy przestaje być widoczną różnica między podmiotem a przedmiotem, wolą a czynem, między „ja" i „nie ja", Miciński niewątpliwie jest bliski tego absolutu.

Przez symbol i mistykę szukając źródeł bytu, rozwiązania zagadek nierozwiązalnych, a razem i źródła ratunku dla narodu, credo swoje wypowiada w odczycie p. t. „Do źródeł duszy polskiej".

Zdawałoby się że w owem zmieszaniu wszystkich religij, zrównaniu praw ziemi w obliczu zagadek najstraszliwszych, poeta gotów jest oddalić się od swego narodu. Nie, zbudował on całą doktrynę, łudząc się — zresztą w najlepszej i najgłębszej wierze, że otwiera Polsce istotną drogę zbawienia. Ostro występuje przeciw romantyzmowi: „Błądzimy, kładąc się przedwcześnie w sarkofagi. Błądzimy—nie wynosząc z mogił lamp wiecznych, aby one się paliły wśród jasnego słońca — nad umarłymi dla żyjących Ideą olbrzymiego Przemienienia. „Młoda Polska miała przed sobą dwa zagadnienia do rozwiązania: tradycję, bardzo jeszcze aktualną, romantyzmu, i stosunek do narodowego „dzisiaj". Do mesjanizmu i do całej romantycznej mistyki ustosunkowała się negatywnie, a przynajmniej krytycznie, za przyczynę nieszczęść narodowych uważając schodzenie dobrowolne do podziemi Wawelu, i zamurowywanie w tym grobowcu wspaniałej przeszłości — woli do czynu realnego. Do tego czynu woła Miciński, nie zdając sobie sprawy, że wołanie jego — to jeszcze jeden manowiec, fantastyczny, zgubny. Zburzywszy inne — buduje jeszcze jeden zamek na lodzie narodowej rzeczywistości. Podług niego, błędem narodu było, że przestał on słuchać głosu swej jaźni. Od wewnętrznego Przemienienia trzeba zaczynać, oprzeć się na mistyce, jako na wiedzy twórczej. Swój program uważa za realny, ponieważ fakt istnienia świata pozazmysłowego nie da się obalić żadnym dowodem filozoficznym, więc owe zagadnienia pozornie nierzeczywiste stają na gruncie równie real-

nym, jak samo życie. Mistyka moja nie była snem szklanym, ja... szedłem po górach duchowego realizmu, przy ogniu kraterów podziemnych wykuwałem mosty Życia Nowego". Prowadzić Polskę na wyżyny ducha, rozpowszechniając jednocześnie w całyn kraju naukę i oświatę, a całą tę wędrówkę oprzeć na poczuciu wewnętrznego głosu, Sokratesowego sumienia człowieka — porzucić materjalizm, podłość i małość — oto jedyna droga. Wszystkie inne są błędne, przeto nie będzie odrodzenia i zmartwychwstania, póki życia nie stworzymy tak, aby ono odbijać mogło najwyższe szczyty mądrości i jarzące się w podziemiach straszliwe lawy naszej rozpaczy. Musimy dojść do zrozumienia wszystkich religij świata, a walcząc „bronić się szablą, ale podawać krzyż".

Symbolem jaźni narodowej jest serce, — ile razy czynimy zeń świątynię — tylekroć powstaje wśród nas Król Duch. Odrzucając mesjanizm, Miciński nie może jednak uchronić się od niego. Właśnie Polska, tak odrodzona, ma prowadzić narody do światła. Wiara romantyków w posłannictwo Polski odnajduje się u niego całkowicie, równie płomienna". Podnosić swą świadomość magiczną do wyżyn Prometejskich, a wtedy sięgnąć po całe niebo na ziemi szturmem najgłębszej, z miljonów piersi wydartej modlitwy „Przyjdź Królestwo Twoje". Zwracając się do współczesnej sobie Polski, widząc całą małostkowość i nędzę moralną pokolenia pogrobowców, piętnuje je z bólem i pogardą. Nie myśleć lub myśleć wybuchami stało się już nałogiem narodu; — nie działać lub działać konwulsyjnie stało się jego polityką". Od Słowackiego nikt nam jeszcze tak gorzkiej prawdy nie powiedział. I jeszcze: „Dusza gubi wszystko w Polsce. Za górnie, za mistycznie, za niemożebnie chcemy mieć życie. I dlatego życie realne przeobraża się u nas w taką nędzę. „Mówiąc to, Miciński wydaje, nieświadomie oczywiście, wyrok na własne utopje. Ratunku szukać trzeba w podniesieniu dusz, w odrzuceniu skostniałych form życia, w odszukaniu w głębi zbiorowego jestestwa narodu prawdy istotnej i wiecznie żywej. „Bo cóż jest być Polakiem, jak że stać się sobą? Siebie trzeba budować od krwawego świtu do późnej nocy". Przypomina się dalekiem echem uznanie narodu w swojem jestestwie Maurycego Mochnackiego. Samej mistyki nie zaleca Miciński bynajmniej, — musi się ona łączyć z wiedzą głęboką, wtedy dopiero będzie ścieżyną ku słońcu. „Mistyka sama bez potężnej wiedzy i woli Życia jest obracaniem się buddyjskiego młynka od wiatraku, który wylata z paszczy potwornego smoka. „Żeby dać narodowi ową wiedzę istotną, muszą połączyć swe wysiłki najwybitniejsi uczeni polscy, rozpowszechniać naukę, kultywując równolegle mistyczną świadomość. W „Nietocie" Miciński stwarza w Tatrach, w Turowym Rogu, zaczątek nowej Polski w postaci utopijnego społeczeństwa mędrców i uczonych. W podziemiach Tatr umieszcza skarbnicę narodowego pamiątek kościoła", nad przyszłością Polski radzą owi mieszkańcy, wespół z duchami Słowackiego, Norwida i wszystkich genjuszów narodowych. Dlaczego w Tatrach właśnie? Bo w życiu i tradycjach ludu tatrzańskiego widzi on najbliższą swego aryjskiego pochodzenia duszę polską. Tam góral, zdjąwszy czapkę, wycina na pułapie swej chaty swastikę, i dla poety, zasłuchanego w wewnętrzne głosy to jest już dowodem niezbitym pokrewieństwa bliskiego współczesnej duszy narodu z duszą dawnych Indyj. Buduje w tatrach świątynię, do której przyjść mają wszystkie narody, w zjednoczeniu wiary i nauk. To było marzenie, rzeczywistość zaś przeczyła mu nielitościwie. Tem boleśniej czując nieziszczalność utopji, zwraca się do swego osamotnienia, w gorzkim żalu o niezrozumienie tego głosu serca. „Niechże więc tak będzie, sowia duszo moja — żyj w mrokach... i zakładaj fundamenty nowej Polski w wiedzy mistycznej. To jest twoje królestwo — i innego niema — nie będzie — Amen". Mistykę uważa za jedyną, mieszczącą w sobie wszystkie inne — królową nauk. Z mistycznych objawień początek bierze każde zwycięstwo ducha nad nieznanemi mocami chaosu. „Bo mistyka uskrzydli, podniesie i zmusi zwyciężyć. Mistyka czyniła w XVIII w. z polskich żołnierzy lwów, mistyka przeobraziła Gustawa, łamiącego ręce nad osobistem nieszczęściem w „wulkan, dymiący się miljonami serc". Umysł Micińskiego, a raczej jego uczucie wewnętrzne, nie jest skrępowane żadną granicą wieków, narodów, religji. Jeden duch wojujący wszędzie. Ze wszystkich wierzeń umiał wybrać to, co jest w nich odwieczną prawdą, której część pozostaje zarówno z buddyzmu, jak z chrystjanizmu po odrzuceniu wszystkich akcesorjów zwyczajowch i rytualnych poszczególnych narodów. Bóg — jest to otchłań niezgłębionych możliwości twórczych nad nami. „Duchy zapełniają świat, ale wszystko jest swobodne". Świat jest falowaniem prądów magnetycznych pośród zagadki Niewiadomego. Bóg jest jeden w Bizancjum i w Rzymie, bo „dusza jest czemś głębszem, niż naród i rasa". Miciński poczuwa się do wspólności duchowej z wielkimi wszystkich krajów i czasów, wierząc, że ta różnojęzyczna, jedną, zrozumiałą dla wszystkich mową duszy złączona rzesza widzących prowadzi ludzkość poprzez wieki coraz wyżej. Rozwiązania tajemnic bytu nie żąda — wierzy w nie i odczuwa ich ogrom — to mu wystarcza. Wogóle cała jego mistyka nie ma charakteru ustalonego systematu filozoficznego. Zapatrzony, zasłuchany jego umysł, spotykając na drodze swych rozważań tajemnicę bytu, w słowach niejasnych, myślach niedokończonych usiłuje zdać sprawę ze swych wizyj — tym nielicznym, którzy ten język, prawie kabalistyczny,

zrozumieć potrafią. Pisze „Nietotę” „Nie przeto, iżby te słowa, ledwo jednem brzmieniem ogarniające całe otchłanie przeżyć, aby te słowa były popularne. Mrok z nich bije. I czasem światło. Bóg jest miłosierny — niech każdemu, kto wart jest, da wiedzę, fantazję, imaginację, natchnienie. tudzież intuicję. Bowiem pismo nasze jest szyfrowane i sympatetyczne — widzialnem się staje tylko pod skalpem myśli — i od wpływu Ognia. Tak, jeśli są duchy, płonące wewnętrznym ogniem, — znajdą one w poecie mroków — brata i towarzysza. Nie zależało mu na popularności, miał poczucie istoty swej wiary. Pragnie tylko, aby najgodniejsi w narodzie usłyszeli głos jego. Siebie, jako indywidualności duchowej, nie wysuwa. Jak lejtenant Szmidt w „Patiomkinie” — „słucha każdej mocy, która mówi z niego”. Nie uświadamia sobie jasno pochodzenia tej mocy — nie zna jej częstokroć, a stara się wyrazić to, co sam czuje mocno, lecz niejasno.

Stąd płynie w największej części tajemniczość, zagadkowość jego utworów. Śledzić za nim można tylko wyobraźnią i uczuciem. Jak nie istnieje dlań świat realny, a jeśli istnieje, jest stylizowany na obraz symboliczny — tak nie można znaleźć u niego opisów we właściwem znaczeniu tego słowa. Są to wizje, pozbawione zupełnie pierwiastka prawdopodobieństwa życiowego, choć budowane z architektoniczną konsekwencją. Wszystko jest przewartościowane na symbol. Postać zewnętrzna bohaterów jest odzwierciadleniem ich charakteru, piękność ich — płynie z potęgi mocy, która nimi kieruje, nawet kolory i kształty mają znaczenie symbolów Coś podobnego znajdujemy w „Królu Duchu”. W ogóle twórczość Micińskiego ma jakiś ton wspólny z mistyką Słowackiego. W odczycie, p. t. Król Duch — Jaźń — poemat Juljusza Słowackiego”, Miciński twierdzi, że kluczem, tak długo szukanym, do przedziwnego poematu ducha jest wiara w nieśmiertelność Jaźni. Po przyjęciu tegoż założenia, jasnemi stają się wszystkie zagadki. Potocki w swojej Literaturze współczesnej pisze o cyklu „W mroku gwiazd, że jest on jak dotąd jedyną opanowaną formą konstrukcji, która buduje nie na zewnątrz, lecz wewnątrz nas ów kościół cudu, którego chce być kapłanem ten poeta. Wszystkie dzieła Micińskiego są takiemi katedrami gotyckiemi, budowanemi wieżycami nie ku niebu, lecz ku otchłani. Śmiertelne rozmiłowanie się w przepaściach, burzach, samotnych szczytach, — w oczach fosforyzujących Lucifera, — zatrata siebie, swej myśli, a rozwinięcie podświadomego odczuwania — to jest świat Micińskiego Dla tak od ziemi oderwanego ducha jednego świata za mało. We śnie lub w stanie podrażnienia magnetycznego dusze jego bohaterów wędrują na planety o tysiące wieków odległe — widzą stwory, na nich żyjące — rozumieją budowę kosmosu i drgań słonecznych. Przebogata wyobraźnia poety roztacza przed nami tajemniczy świat życia duchowego, a że nadzwyczaj sugestywną jest jego wiara — nie wiemy w końcu, czy to, co przywykliśmy nazywać rzeczywistością, nie jest złudzeniem, a owe odwieczne, stare jak dusza ludzka złudzenia — jedyną rzeczywistością. Przez jedną noc zimową, wigilijną Piotr, więzień polityczny za sprawę, przeprowadzony przez księdza Piotra poza siedem bram wtajemniczenia, staje się innym człowiekiem, widzi rzeczy dotąd sobie nieznane, i siłą wątpiącej swej myśli usiłuje napróżno wrócić do objektywnej rzeczywistości. Zbudził się w nim człowiek wewnętrzny. Nawet, w ciemnych żołnierzach z załogi „Patiomkina” widzi Miciński, który przeżył osobiście rewolucję rosyjską, a w końcu został przez bolszewików zamordowany — nawet w nich widzi moce nieznane, kierujące nimi w wielkiej grze istnienia.

W tych zdarzeniach tajemniczych, jakie stawia przed czytelnikiem Miciński, wielką rolę odgrywają kobiety. Mistyczny pierwiastek księżycowy łączy się w nich z medjumicznością. Wszystkie one są we władzy złowrogiego i potężnego Lucifera. One to, mimo swej woli nieraz, stają się świątyniami wiedzy tajemnej, w nich, mało opanowane przez słabą wolę, przejawia się tem silniej życie uczuciowe. Prócz Wity, która jest symbolem życia narodu, wszystkie z trwogą i roskoszą zarazem czują, że kieruje niemi nieznana potężna moc.

To, co tu streściłam, jest zaledwie szkieletem, wiązaniem, podtrzymującem gmach poezji Micińskiego. Przebogata jest ornamentacja tego gmachu, ozdabiają go przeróżne potwory, z kamienia kute, jak na katedrach gotyckich, przepływają nad nim chmury groźne, napełniają go wizje bogate, jak kolory witrażowego światła w głębi mrocznej nawy. Tajemne moce go budowały, krążą po nim, w przejściach i kryjówkach, westchnienia jękliwe, a na ołtarzu pali się Ogień — indyjski bóg Agni, ukradziona przez tytana potęga człowieka.

Helena Radziukinas

Aby „FALA” rozwijała się i doskonaliła trzeba regularnie opłacać prenumeratę. Czas odnowić prenumeratę na kw. II-gi.



Z Nowego Yorku na pokładzie statku „Byrd City" przybył do Gdyni pomnik prezydenta Stanów Zjednoczonych W. Wilsona, który stanie w Poznaniu

W DOMU

I.

Michał zagasił lampkę szafirową, osadzoną w suficie i dotknął rolety, która wartko uciekła ku górze.

Stuk-stuk... Stuk-stuk... wyśpiewywały przęsła wagonu, ustawicznie, nieprzerwanie, rytmem mającym coś fatalnego. W dal! w dal! w dal, pochłanianą żarłocznie, ku niewątpliwemu kresowi. Za każdym obrotem kół zbliżał się kres, nic go odwołać nie mogło.

Był już dzień.

Na krańcach widnokręgu paliła się blada zorza. Wypoduszkowany przedział trząsł się i jęczał w swem obłóczeniu z wytłaczanej skóry. Przebiegały przed zaspanemi oczami zwilgłe w rosie porannej chałupki o słomianych dachach, dalekie gaje nad płaskiemi polami, bliższe gałązki, całe ociekłe wilgocią, sine i czarne, zwarzone, przymrozkami.

Na osmętniałym krajobrazie wykwitło murowane domostwo podmiejskie, potem drugie, trzecie, coraz więcej. Michał w ogromnej radości, która oblała go, jak war, uświadomił sobie:

— Za chwilę Warszawa.

Niewiarogodna uciecha, jakby teraz dopiero to zrozumiał, poderwała go z ciemnej czeluści łoża wagonowego.

Ach, patrz! Za chwilę, wyłoni się z chaosu majaczejących zarysów znane miasto, znana ulica, znany dom — twój dom, Dom własny, w którym nie będziesz płatnym przybłędą, zdanym na łaskę fagasów o chytrych ukłonach. Twój dom, przybytek miłości i zaufania, gdzie nie trzeba stać ustawicznie na straży każdego słowa i gestu, pomiędzy tłumem legalnych rabusiów.

Ach patrz! Wytęż wszystkie siły patrzenia. Oto dom twój, jedyny punkt na obu półkulach, gdzie jest miejsce twoje i dla ciebie!

Rzucił się gorączkowo do zbierania rozrzuconych walizek, ze śmiesznym pośpiechem, aby nie stracić ani chwili, aby być gotowym do wyskoczenia, zaledwie wagon się zatrzyma.

— Będzie w domu! Przez całe sześć tygodni!

Czy podobna w to uwierzyć? Może to jeszcze sen gorączkowy, jeden z tych, które tak uporczywie nawiedzają go ostatnio?... a potem pozostawiają słodki, nieznośny ciężar?

Może i teraz trzeba uświadamiać sobie: nie, to sen tylko... i przyciskać powieki, aby przemocą

zatrzymać blednącą marę? Dotyka chłodnych przedmiotów, przeciera oczy, trzeźwieje. Lecz nie: mara wciąż trwa, coraz silniejsza, coraz rzeczywistsza, nabiera rumieńców, krwi. Jedzie do domu!

Oddawna, chyba jeszcze od tych czasów, kiedy był bogaty, nie oddychał tak swobodnie i tak radośnie.

Całe sześć tygodni odpoczynku bezwzględnego!

Od szeregu lat, gdy dawny jego znajomy, obecnie miljoner, powierzył mu propagandę swych wyrobów i uczynił zastępcą (czytaj: komisjonerem) na Amerykę, zjeżdżał całą nieledwie kulę ziemską w pogoni za groszem. Niejednokrotnie wysiadał z samolotu w jakiejś dziurze nieznanej, aby pędzić dalej karetką pocztową, zaprzęgniętą archaicznie w czwórkę koni.

Ileż miast, miasteczek, osad, pokojów hotelowych, które różnią się tem jeden od drugiego, że w jednym jest woda bieżąca, a w drugim pluskwy. Ile spotkań, znajomości przygodnych lub celowych, rozmów w przeróżnych językach, argumentacji wytężonej, aby nie dać się oszukać, lecz za to oszukać innych. A wszystko dlatego, aby posyłać obficie grosze, tam, daleko, gdzie jego najmilsi nie będą uczuwali utraty majątku i dalej żyli spokojnie.

Dowiadywał się zrzadka z listów, które goniły go po świecie i przeważnie ginęły, że córki rosły, piękniały, rozwijały talenty, pyszniły się sukcesami, w salonach i na estradach. Ostatnim razem przed sześciu laty tylko pół doby mógł się zatrzymać w domu, pomiędzy Barceloną a Moskwą, a właśnie najmłodsza, Pola była na wsi, zaproszona przez dawnych sąsiadów.

Teraz powetuje to sobie, powetuje z nawiązką!

Zdrowie jego szwankuje i pryncypał ofiarował mu wspaniałomyślnie długi urlop: „Panie Michale, jedź pan do Vichy, podlecz sobie dobrze wątrobę, nerki, serce. Nie myśl o niczem innem, tylko o zdrowiu i wracaj mi zdrów. Pracownik musi być zdrów i silny, wtedy tylko może pracować z pożytkiem".

Oczywiście, zamiast wzbogacać Palace-Hotele w Vichy, wolał pojechać do domu. Uleczy go najlepiej widok ukochanych. Zresztą, można pić wody i w domu. Nakupił podarunków dla żony, dla córek. I oto, i oto...

Pociąg zaczął zwalniać, wybiegła z mgły linja chodnika z mnóstwem posługaczów, którzy pędząc równolegle do wagonów, czepiali się poręczy, wskakiwali na stopnie, wyciągali ręce chciwie, jakby po łup, po bagaże podróżnych.

Warszawa! Warszawa!

II.

Leży w łóżku, przysuwa budzik i pyta siebie po raz setny:

— Więc naprawdę jestem w domu?

Cienka bielizna, haftowane monogramy, miękkie prześcieradła, o których czystość nie trzeba się troskać. Do łóżka podają mu kawę z kożuszkiem, którą tak lubi. Służba życzliwa zna każde upodobanie pana, spełnia wszystkie życzenia, nie czy ając na napiwki.

Wszystko dokoła swoje, pewne, własne — sprzęty, drobiazgi, atmosfera, a nadewszystko, nad przedmiotami, ukochane twarze Zeni, Marysi, Jadźki i Poli.

Przystań dla steranych kości... budzik możnaby stłuc, bo się nigdzie nie wyjeżdża i nie boi opóźnienia. Spokój, spokój...

III.

W przyległym pokoju poruszyły się jakieś kroki lekkie i ostrożne.

— Wszyscy śpią jeszcze, czy co? — pomyślał Michał i przeszedł do salonu.

Z pod obrazu powstała ku niemu najmłodsza córka, Pola.

Wysoka, smukła, na rasowych nóżkach, z foremną główką na aksamitnej szyji — zdawała się wytryskać z głębi, przepajając powietrze światłością swych złotych loków.

— Udała mi się córka, ani słowa!

Objął ją i na białym policzku wycisnął trzy serdeczne pocałunki.

— Chodź-no do mnie, moja panno, niech że ci się przypatrzę porządnie nareszcie! Wczoraj nie było na nic czasu. Skądżeś ty mi taka wyrosła, dziewczyno?

Pola z rezygnacją poddawała się czułości ojcowskiej. Potem, widząc, że już koniec, wyjęła emaljowaną puderniczkę, baton różu i umiejętnie zaczęła poprawiać spustoszenia na skórze i wargach.

— Cóż to wstałaś tak wcześnie? — Mama pewno śpi, jeszcze?

— Och, gdzie tam! Wszyscy wyszli już przed godziną!

— Takie ranne z was ptaszki?

— Przecież jutro ma byc wielka recepcja. Zapomniałeś, ojcze?

— Ach, prawda. Czy to z racji mego przyjazdu?

Panieński głosik zawahał się.

— Twoja depesza przyszła tak późno, że mama myślała, iż niepodobna już odwoływać... Zresztą i ty się zabawisz, poznasz nasze towarzystwo... i pana Leona..

— Coprawda, przez pierwsze dni wolałbym być z wami tylko, bez obcych.

— Pan Leon nie jest obcy... lada dzień oswiadczy się o Jadźkę, myślimy, że czeka tylko na ciebie.

— Ano, trudno.

— A ja... A ja...

— Co „ja", Poluchno?

— Ja chciałabym także pomówić z tobą, póki niema nikogo.

— Mówże, mów, serce.

Cień rumieńca opłynął białe policzki. Głos tak pewny siebie załamał się i lekko zaczął drżeć.

— Ja, bo widzisz ojcze, ja... chciałabym także wyjść za mąż.

— O, brawo! I ty także! Trafiłem widać na serję wesel w moim domu.

Znowu przyciągnął córkę i ucałował.

— Bardzo go kochasz tego wybranego? Któż to jest? Czy go poznam?

Pola przeczesała się złotym grzebykiem i mówiła:

— To sprawa nie taka prosta, jak myślisz. Mój... pretendent jest człowiekiem o świetnej przyszłości, o dużych zdolnościach i...

— Wystarcza mi to, że go kochasz.

— Ach, kochanie...

— Jakto?

— Nie idzie o kochanie, nie żyjemy w czasach Abelarda i Heloizy. My, z naszym posagiem nie możemy mieć nadziei na nic nadzwyczajnego. Jadźce się udało, ale ja...

— Co ty mi tu wygadujesz, dziewczyno. Mów mi lepiej, czy go kochasz?

A on?... Oczywiście, zbyteczna pytać. Któż by nie kochał takiej jat ty, ślicznotki!

— Dziękuję ci za komplimenty, ale idzie o co innego. Powiedz mi jasno, papo, jaki jest nasz stan majątkowy?

— Wiesz przecież, że majątek stracilismy, ale nie trap się, dopóki ja żyję na niczem wam zbywać nie będzie i...

— Znowu nie o to idzie. Pan Leszek (tak mu na imię) jest na drodze do świetnej karjery, ale na koszta reprezentacji, instalacji i tak dalej, potrzeba mu pieniędzy, i dlatego, aby ożenić się, musi mieć 10 tysięcy dolarów. Czy możesz dać mu tę sumę? Czemu tak patrzysz na mnie?

— Słucham i nie wierzę uszom. Czy ten... pan żąda takiej sumy od ciebie?

— Nie żąda, nie mówimy nigdy o tem, ale ja sama przecież znam życie, widzę, wiem i rozumiem.

— I... chcesz wyjść za niego?

— Chcę — i to bardzo?

— Więc go kochasz?

— Ach, papo, my się nie zrozumiemy nigdy. Ty wciąż o miłości, a ja...

— A ty o dolarach.

Pola wydęła gniewnie usta.

Chciał ją przygarnąć do siebie; szarpnęła się gniewnie.

W pogodnych jak niebo oczach była teraz niechęć, uraza. Patrzała gdzieś w bok, z miną królowej, która nadaremno zniżyła się do padołów.

Michał spoglądał na śliczną, młodziutką twarzyczkę, szukając odpowiedzi na swe tkliwe wejrzenie.

Widział zimne, nieprzeniknione oczy.

— Chciałbym przedewszystkiem go poznać.

— Po co?

— Jakto poco? Jako ojciec...

— To zupełnie zbędne.

Odwróciła się i wyszła z pokoju majestatycznie.

Chciał pogonić za nią, obrócić wszystko w żart.

Poczuł jednakże, że wszystkie jego słowa nie będą życzliwie przyjęte.

Pola chce. Nie chce rozumować, rozstrząsać, wdawać się z ojcem w dyskusje. Żąda i już! Od czego jest ojciec? Tak sobie ułożyła, a on przyjeżdża naraz z końca świata, wtrąca się do jej spraw i projektów i odrazu staje im wpoprzek.

Pomiędzy nim a tą małą despotką wykopała się przepaść, którą trudno będzie przebyć...

IV.

— Jest polewka dla mnie?

— Proszę pana, zapomniałem powiedzieć kucharce...

— Znowu zapomniałeś!

— Takie urwanie głowy z gośćmi! Niewiadomo za co wpierw się porwać.

— Zaraz idź mi do kuchni!

— Pani kazała roznosić herbatę...

— Cóż u licha, żyję tu jak na popasie! kopyta można wyciągnąć z taką kuracją!

Żenia dosłyszała z salonu przez otwarte drzwi i przesłała mu karcące, zgorszone spojrzenie.

Mógłby zostawić na pokoje służbowe takie wyrażenia!

Siedziała przed fortepianem, w toalecie paryskiej, we wszystkich klejnotach i poddawała A słynnemu skrzypkowi, któremu miała akompanjować.

Córki, otoczone przez młodych ludzi, śmiały się pod wachlarzami. Był to zespół wytwornych, wesołych grup, jakby rozmieszczonych przez zdolnego reżysera.

Michał poczuł się nagle obcy.

Wtargnięciem swojem tutaj zmąciłby harmonję układu. Skierował się ku jadalni.

Na to widać czyhała Jadźka, bo niespodziewanie wyrosła na drodze z panem Leonem.

— Papo, chcę ci przedstawić pana Leona...

— Już miałem przyjemność..

— Ach, to była ceremonja światowa, ale ja chciałabym, to jest my chcielibyśmy, pogadać tro-

chę z tobą swobodniej, serdeczniej... Pan Leon tak bardzo interesuje się twemi podróżami...

Starała się zbliżyć do ojca swego przyszłego. Poddawała tematy, które młodzieniec rozwijał z wdziękiem i, rozumem, wykazując wysoką kulturę i wykształcenie. Pragnął widocznie podbić przyszłego teścia.

Michał słuchał chmurny,

Rozumiał grę, ale wciąż go korciło przewidzenie, że nie tak to wszystko być powinno. Jadźka powinnaby tworzyć jedność z ojcem, nie z narzeczonym. Bolała go jeszcze rana, zadana przez Polę.

Już widzi, jak czarujące uśmiechy gasną na ustach dyplomaty, gdy się dowie, że przyszły teść nie da dolarów. Widzi urazę w tych dwóch ślicznych twarzach. Czemu nie chce im pomóc? Czyż koniecznie czekać mają na jego śmierć?...

Nie odpowiadając na czynione mu awanse, oddalił się bez słowa.

Cichły gwary w miarę, jak się zagłębiał w nieoficjalną część mieszkania, ciemną dziś i zaniedbaną.

Gwoli świetnego przyjęcia ogołocono ją ze wszystkich piękności.

Przysiadł na jakimś stołku i patrzył zamyślony w posadzkę, na której znaczyły się jaśniejsze pasy, po odartych kobiercach.

W salonie brzmiała teraz zawrotna melodja walca. Rozpoczęto tańce.

— Dzieci garnęły się do mnie.., Chciały pogadać serdecznie, a ja je zmroziłem. — Potraktowałem prawie wrogo. Czy to nerwy? Nie, boli mnie jeszcze Pola...

A może ja naprawdę jej nie rozumiem? Tyle lat byliśmy zdala. Zakopany po uszy w sprawach materjalnych, w puszczach geszeftu i business'u, nie widziałem, że świat idzie naprzód, że młode pokolenie dorasta... Trzeba zbliżyć się do rodziny, trzeba iść do niej z sercem i wyrozumiałością. Zaraz jutro...

Znowu w błyskawicznym skrócie, narzucił się jego oczom obraz salonu.

Żenia z rozszerzonemi źrenicami zalewającemi czernią jej jasne tęczówki, wsłuchana jest w słowa skrzypka. Więc zawsze jeszcze...

Kilku panów i pań, których nie zna. Stara panna opowiada, jak to wczoraj nie mogła przyjść na posiedzenie stowarzyszenia, do którego należą wszystkie osoby przytomne. „Zaczepiła mnie jakaś paskuda, nie mogłam się uwolnić... mówię państwu, paskuda!"‥, wykrzywia usta ze wstrętem, a córki wyciągają ją na słówka i pękają ze śmiechu, w pysze swej urody młodzieńczej: „Któżby się tak łakomił na te pięćdziesięcioletnie wdzięki?

A walc, śpiewny, kuszący, rozsiewa znowu uroki jak niegdyś, jak rozsiewać będzie zawsze, gdziekolwiek będą młodzi i ich marzenia o życiu...

Michał w swym ciemnym kącie na twardym stołku, poczuł się nieskończenie daleki od swego salonu.

Poczuł takie żarliwe pragnienie obecności ludzkiej, że już nacisnął klamkę, od pokoju służbowego.

Posłyszał stłumione szepty. Służba zabawiała się na swój sposób.

Michał zatrwożył się nagle. A nuż posłyszy coś takiego, czego wiedzieć nie chce, i nie powinien... czemu wierzyć nie trzeba?

Lepiej być samym. Po męsku...

V.

Było już po obiedzie; pito czarną kawę w salonie. Żenia haftowała przy kaloryferze, córki szczebiotały coś żywo, ale, na widok ojca, umilkły.

Pola ostentacyjnie wzięła ze stolika książkę i pogrążyła się w czytaniu.

Michał zasiadł obok żony i myślał od czego zacząć zbliżanie się do rodziny. Przemknęły mu frazesy o wczorajszej zabawie, o tualetach pań i nagle sam nie wiedział kiedy, zapytał:

— Co to czytasz, Polu?

Dziewczyna podniosła oczy od książki, opuściła je znowu i nic nie odpowiedziała. Maryśka szepnęła:

— Ech, ty się na tem nie znasz!

— Kto wie? — usiłował to obrócić w żart. Powiedz.

— Poezje.

— Jakie poezje?

— Francuskie.

— Utwory Alberta Samain — dodała niecierpliwie pani, takim tonem, jakby chciała powiedzieć, „masz, dowiedz się, już jesteś zadowolony? dużo wiesz z tego?"

Michał palił w milczeniu. Wzbierał w nim smutek, który przeradzał się znowu w złość.

— Dumne, wykształcone, nieprzystępne panny. O ileż wyższe od ojca...

A gdyby tak odebrać im tego ojca, który daje na wykształcenie, na stroje, na fochy?

Pójdzie, pójdzie sobie, plunie i pójdzie do djabła, zobaczą!

Ale on kocha te swoje strojne laleczki. Przecież to jego stworzenia, jego życie, całe życie!

Nie ruszał się, milczał ciągle.

Paraliżował go widok pięknej, doskonale ułożonej rodziny, za którą, na odległym planie, wybłyskiwał pan Leon o wykwintnych manierach i drwiącym uśmiechu. Leon i Jadźka stworzeni są do drwin, do wesołości, do górowania nad światem. Ma przyjść za chwilę, oświadczyć się oficjalnie rodzicom.

Myśl ta poderwała go nagle jak zmora.

Jakże on się ośmieli przyjąć te oświadczyny? Jak się zachowa wobec konkurenta, który będzie prosił?

Prośba dowodzi, bądź co bądź, że on, Michał, rządzi czemś, o czemś decyduje, że od woli jego zależy ten wyniosły pan.

Michał, ojciec eleganckich panien, tak swobodnych i wzgardliwych, którym niegdyś dawał klapsy, a którym nie ośmieliłby się teraz dać najlżejszego rozkazu, przedewszystkiem dlatego, że by go nie posłuchały.

Więc po co ta głupia komedja?

Wstał i wyszedł. Wysunął się cichutko z domu. Na odchodnem dosłyszał słowa Jadźki:

— Gdzież on idzie w tej chwili właśnie?

— Ach, niech idzie!

— Ojciec jest zawsze taki ponury! — dodała Pola. Naprawdę lepiej...

— Ponury... myślał sobie. Ponury... — potrącali go przechodnie, którym tamował drogę swym nieobliczalnym krokiem. Tak, prawda, że jestem ponury.

Ach, dziecko, gdybyś rozumiała, ile dni i nocy złożyło się na ten ponury mars na czole!

Ile samotnych myśli, ile pożegnań z życiem, ile czarnej głębi, kiedy niema nikogo dokoła...

Ile łez tłumionych i niewylanych, bylebyś tylko ty się śmiała...

Bylebyś ty się śmiała... Dobrze. Zrobię i tę jeszcze ofiarę i ten jeszcze dar, złożony twemu szczęściu. Nic nie zaćmi twej pogody. Będę wesoły.

VI.

Przyszedł ten dzień uroczysty, byli goście, i szampan, i muzyka i roześmiana buzia Jadźki i żarzące się oczy reszty rodziny.

Michał był wesoły, bardzo wesoły.

Wdział frak, chodził między gośćmi, ściskał ręce, pytał o coś, odpowiadał...

Zbierało mu się na płacz. Tysiące razy chciał dojść do owego obcego pana, który mu zabierał na własność, na łaskę i niełaskę jego skarb pierworodny, tą drobinę, której nie śmiał ongi dotykać niezgrabnemi rękami, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na świecie.

Chciałby powiedzieć... Jak to powiedzieć?.. A przedewszystkiem — jak to przyjmie Jadźka?

Pomyślał, że gdyby los zdarzył, iż będzie z mężem nieszczęśliwa — wtedy może... i zaraz skarcił się ostro! Co za myśli! niewolno im nawet majaczeć! Niechże będzie szczęśliwa, bez chmurki, bez skazy. Niech przejdzie po sercu jego i nawet nie spostrzeże tego!

Podszedł w stronę innych córek, które pocichu rozmawiały z matką.

— Musisz zaraz iść do krawcowej, żeby ci przerobiła suknię różową, mówiła Żenia. Teraz noszą plisowane...

Takie były zajęte sobą, że nie zauważyły obecności ojca. Robiły plany i projekty, ale w nich nie było miejsca dla niego. Czy był, czy nie — nie zmieniało to ani na jotę trybu ich życia. Nie istniał w ich życiu.

Uprzytomnił sobie, że jutro od samego rana ma kilka spraw w banku i że musi zobaczyć się z architektem, który buduje mu willę. Żenia ma dość wynajętych lokali i chce być „na swoich śmieciach". Tyle spraw... Czy zdąży w jednym dniu?

Urlop zbliża się ku końcowi. Niezadługo trzeba będzie... Znowu na serce zwalił się ciężar, przygniótł i ssał, ssał. Przed oczyma migotała znowu czarna próżnia, bez celu, bez wylądu, i ta zmora bezgłowa:

— Po co? Po co?

Ale zwlókł się. Dalej! Trzeba wypocząć i mieć siły na jutro. Żenia będzie miała kąt własny, Jadźka dostanie posag. Zostanie i dla innych córek. Może i Poli okroi się 10 tysięcy dolarów, których tak pragnie.

Wstał ociężale. Szedł w głąb mieszkania, szukając kąta do drzemki.

Na lewo była sypialnia żony.

Od wielu, wielu lat już sypialnie ich były oddzielne. W kącie, nawpół przysłonięta portjera, wisiała stara, poblakła fotografja: Żenia, on, dzieci w kolei starszeństwa; Jadźka, Marysia, Pola. Staroświeckie szaty, śmieszne fryzury, Żenia w obcisłym staniku o bufiastych rękawach, a on z wąsami i długą brodą.

Wyrzucono ten skrawek przeszłości na najbardziej przed światem ukryte miejsca, bo Żenia nie lubi przypominać nikomu, a najmniej sobie, że w pewnej epoce, której datę dokładnie określa moda — miała już duże dzieci, i że wogóle sama nie była już dzieckiem. To też na stoliku pyszni się inna fotografja, na której wydaje się najmłodszą córką tamtej siebie, z przed lat.

Ale nie tego szukał Michał. Pamiętał, że wisiała tu niegdyś fotografja jego rodziców. Zatęsknił za widokiem starych, zniknionych twarzy. Gdzie jest?

Nieśmiało, jakby w obawie by go stąd nie wyrzucono, rozglądał się po sypialni w której nie był od tylu, tylu lat. Żenia nazywała pokój ten swojem „sanktuarjum" i nie pozwalała wchodzić nikomu, bo „chce mieć swój kąt do myślenia". Tutaj przychodziły pomysły do symfonji, które potem poddawała światłej krytyce mistrza. Opryskliwie broniła „swobody ducha". Jednego tylko kącika żądam dla siebie i tego mieć nie mogę! Kryję się na końcu mieszkania gdzie nie zawadzam nikomu, pozwólcie czasami być samą z memi myślami!".

Liczba mnoga „pozwólcie" stosowała się oczywiście tylko do męża.

Aż wpoiło się w niego przekonanie, że są to strefy zakazane, do których wnikać nie wolno.

Potem przyszła ruina majątkowa, i rozpaczliwa pogoń za groszem i nie było już czasu na subtelności.

I tak przeszedł czas. I ma teraz córki dorosłe...

...Niema już stolików nocnych, znikły wraz ze staremi łóżkami. Teraz Żenia sypia na szerokiej, niskiej otomanie, którą w dzień pokrywa dywan perski i mnóstwo poduszek wzorzystych. Ale gdzie te fotografje?

Szperał, szukał desperacko — aż odnalazł wszystko w przyległej alkówce, dokąd relegowano stare rupiecie. Otarł starannie warstwe kurzu i patrzał.

Ojciec w długim surducie odświętnym, o poczciwej twarzy karczmarza wiejskiego, matka w kaftanie, z rękami złożonemi na wydatnem łonie — z rękami co tak skrzętnie i ciężko pracowały i umiały pozostawić ukochanemu jedynakowi — miljon.

Dla obcych byli to może parwenjusze, szynkarze i co kto chce, ale on pamięta zawsze ich najczulszą miłość i troskę.

Po oświadczynach o jaśnie pannę Żenię, przyprowadził swoich starych, wycofanych już wówczas z „szynkowania", i Żenia rzuciła jedno tylko spojrzenie na swą przyszłą rodzinę, a on, zakochany, olśniony, nie zwrócił na nie uwagi. Musiało jednak ono przeleżeć długie lata na dnie jakiejś bolesnej urazy, bo go nagle teraz ukłuło...

— Ojcze, matko... Gminne twarze... Od pierwszej chwili raziliście wykwintną Żenię. Nie chciała was znać. To też wyrzuciła was ze swego pokoju.

Podniósł stare fotografje, wygładził, wyprostował. Schował je do swej walizy podróżnej. Wtem przeląkł się. A jeżeli Żenia gniewać się będzie, że gospodarował tutaj? Ech, niema obawy. Napewno zapomniała o istnieniu tych fotografij.

Wspomniał teraz pierwsze lata po ślubie.

Jakaż ona była piękna i imponująca. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że ta wyniosła dama jest jego żona. Wstydził się swych manier, nad któremi nikt nigdy nie czuwał, starał się chodzić, jeść, mówić tak jak ona. Czuł się obco w swoim domu, wśród jej przyjaciół i jej świata.

Gdy dzieci zaczęły przychodzić na świat, gdy uczynił kilka poważnych przysług protegowanym Żeni, zaczęto wynosić go pod niebiosa, zapraszać wprowadzać do klubów. „Drogi, nieoceniony pan Michał! Nasz kochany Michał, tacy ludzie na kamieniu powinni się rodzić!". Pływał w pochwałach, okadzano go, poczuł się jakby na nowo urodzonym. Nie był już obcy, nie krępował się, pozwalał sobie na szczerą wesołość, nazywał „mamą" jaśnie panią matkę, o ciotce mówił bez żenady „stara wiedźma", kuzyna dygnitarza klepał po ramieniu. Taki był szczęśliwy i upojony, że z tego okresu pamięta tylko wielką słoneczność i salon w którym Żenia przyjmowała różne znakomitości.

I oto przypomina mu się teraz rzecz pewna. I ona przeleżała lata na dnie świadomej pamięci.

Znosił bez podejrzeń wszystkie zmiany, jakie Żenia zaprowadzała w ich wspólnem życiu, i częste jej podróże i rozdział sypialni, i nerwy, ilekroć wkraczał do sanktuarjum. Na wszystko wybuchał dobrotliwym śmiechem, nic mu się w oczy nie rzucało, absolutnie nic.

Siedzieli w loży, oni oboje i zaproszony mistrz—skrzypek. Pobiegł w antrakcie po cukierki. W bufecie teatralnym nie było tak dużego pudła, jakiem zawsze obdarzał Żenię, zbiegł na ulicę pędził bez kapelusza, przemoczony, bo deszcz właśnie zaczął kropić, z potarganemi włosami.

I jak zawsze, wpadł do loży z wesołym okrzykiem:

— Zgadnijcie, co mi się przytrafiło!

Mistrz cicho i z rozmysłem przemawiał do Żeni, pochylony nad nią, a ona wzruszyła ramionami:

— Och, także! Za dużo zachodu! Każę go zaprosić na polowanie do kuzyna Jana i będzie w siódmem niebie!

Michał słyszał te słowa i nie zastanawiał się nad niemi. Uderzyła go tylko twarz Żeni, poszarzała i zmięta, mistrz powstał z krzesła uprzejmie i on, który nie interesował się nigdy egzystencją Michała, raczył dziś zatroskać się uprzejmie:

— Och, szanowny pan przemókł!

— Popatrz, jak ty wyglądasz! — wydęła usta Żenia i uczyniła ten swój gest niesłychanej dali, który on zwykł sobie dobrodusznie tłómaczyć jako żart. —

Przygasły, zmieszany, usiadł za fotelem żony i już się nie odzywał. Było mu jak rozweselonemu dziecku, które nagle oberwało po łapach. Już nic nie mówił. Gdy wracali, w samochodzie obserwował żonę, jakby ją po raz pierwszy zobaczył. Żenia nie maskowała się. Prawdopodobnie, rozzuchwalona długoletnią bezkarnością, nie przypuszczała, aby on był w stanie coś zauważyć.

Jak zwykle, weszła do mieszkania ze swą zadąsaną miną królowej. Rzuciła półgębkiem „dobranoc" i odeszła do swego pokoju. Zapomniał potem o całej tej sprawie. Dopiero w tej chwili...

Wszystko odżyło naraz, oplątało tysiącem uraz, powątpiewań, pytań i okrzyków. Wynurzały się przeleżałe przez lata fakciki, spostrzeżenia, uśmiechy, szepty, leciuchne sarkazmy, coś dziwnego co migało w oczach służby.

Teraz wie. Ale co?...

Sam nie wie, jak rozległe jest jego nieszczęście. I nie chce wiedzieć.

Przemyka drzwi od garderoby, aby nie usłyszeć... czego nie chce. Nie, nie.

Wie tylko, że dokoła niego wali się wszystko. Gruzy i gruzy. Ruina całego życia, które nie można naprawić pod koniec życia...

Wyszedł zgarbiony ze staremi fotografjami pod pachą i jak skrzywdzone małe dziecko szepnął:

— Ojcze, Matko.

Strzeliły korki szampana, wzmógł się gwar i wrzawa, ktoś krzyczał:

— Niech żyją!

— Piją za zdrowie narzeczonych. Prawdopodobnie szukali mnie, nie znaleźli, i obeszli się bezemnie. Oczywiście, oczywiście.

Przemknął przez kurytarz ostrożnie, aby go nie wypatrzono, nie rzucono się na dźwigane wizerunki. Żenia nie omieszkałaby szepnąć:

— Mon cher, możebyś nas uwolnił od trudu admirowania galerji portretów rodzinnych?

W przedpokoju wisiało znane, przepyszne futro. Mistrz już jest. Historja się powtarza.

Niema nic nowego na świecie. Chyba ból serca. Ale i ten—czy to coś nowego? Czy kogokolwiek obchodzi?

Przeszedł obok lokaja, który zerwał się z przestrachem. Michał uśmiechnął się tak zaabsorbowany swemi myślami, że nic nie rozumiał.

Wiły mu się w mózgu jakieś poszarpane fragmenty:

„Wszystko com budował, runęło. Ru—nę—ło.

Ból był i jest osnową mego życia.

Gorycz mam w ustach, a serce zalewa żółć.

W salonie huczały jazz'e. Widział swoją rodzinę w objęciach tancerzy, przybłąkał się miły uśmiech Jadźki. Jest szczęśliwa i postanowiła być bardzo dobra dla wszystkich.

Odpowiedział wizji uśmiechem, z którego uleciała dusza.

„Dal-ki, daleki świat to, świat w którym się jeszcz pragnie i cieszy i walczy...

Daleki, za prawiekami.

Przeżył w sobie śmierć wszystkiego co było życiem dla niego. Pod rytm foxtrottu opłakuje najdroższe istoty, które umarły w sercu jego.

Plątała mu się melodja jakaś, znana niewiadomo skąd — wyniosła, uroczysta, nieziemska. I te słowa niewiadomo skąd:

„Zycie ucieka odemnie".

„Jak morze od skalistego brzegu...".

Nie wiem kto jest Albert Samain, ale to mu się samo wiąże w duszy. „Układam wiersze Z towarzystwa najkrwawszego bólu. Jadźka zachichotałaby, że forma nieartystyczna, a Żenia krzywiąc nosek szepnęłaby do mistrza, że skąd znowu on, Michał i poezja...".

Popatrzył na lokaja, który stał wciąż zajęty i zmieszany. Kiwnął ręką uspakajająco.

— „Tyś szczęśliwy. Kradniesz moje cygara i to cię napełnia zadowoleniem. Jakie to wszystko już dalekie odemnie. Dobre i złe, wesołe i smutne...

Cicho zatrzaskując drzwi za sobą, wyszedł na ulicę.

— Bawią się, nie wiedząc, że mnie niema. Niech się bawią.

Mijały go setki ludzi.

Jakaż okrutna obojętność wieje zewsząd.

Odosobnienie.

Może są poczciwi ludzie, dobrzy i usłużni. Może i ulitowaliby się nad nim szczerze, pożałowali gdyby wiedzieli... Ale nikomu nie przyjdzie na myśl spojrzeć w duszę przechodnia.

Zdrów na pozór, odziany dostanio, rumiany, wypoczęty. Cóż go trapić może? Nikt nie słyszy bezsłownego przyzywu:

— Ratujcie!

Wszedł do kawiarni, usiadł pod lustrem, przeglądał dzienniki, nie wiedząc co czyta.

Wchodziła publiczność, zakochane pary, zaaferowani geszefciarze, osamotnione staruszki. Szukano stolików, paplano, śmiano się i sprzeczano.

Patrzył jak na odległą głąb morza. Pomiędzy nim a tą pijaną życiem ciżbą wyrastała niewidzialna cienka ścianka, która żywych oddziela od trupów.

Czyż niema na świecie nikogo, którykby cierpiał? Czyż nikt nie nosi w sobie mogiły? Każdy ma normalne życie, rodzinne, jakieś pragnienia, jakieś radości. Tylko ja — nic, nic — nic.

Człowiek jest igraszką przypadku. Człowiek nie może, nic, nic.

Gdybym zamiast z Żenią ożenił się w swojej sferze? Czy byłoby lepiej?

Czy jakaś Marysia którаby mi przypadła, nie zdradzałaby mnie z jakimś Wojtkiewiczem? Czy córki nie mogłyby być chore, ułomne, złego prowadzenia?

Ból i szczęście to przypadek. Człowiek jest igraszką przypadku i na to nic zrobić niemożna

Kto się urodził pod złą gwiazdą...

Od obecności ludzkiej jeszcze jaskrawiej uderza w niego poczucie samotności. Ale nie mógł wstać i wyjść.

Między ludźmy jest mu najmniej jeszcze nieznośnie. Idzie od nich coś krzepiącego, siła zbiorowa.

Nagłe poczucie krzywd niepowetowanych chwyta za gardło. Raptownie wybucha jęk:

— Ojcze! Matko!

Pochylił się nad dziennikiem, bo z oczu leciały łzy, jedna za drugą, niepowstrzymane.

Starał się ukrywać twarz przed ludźmi. Gdyby kto zobaczył. Mężczyzna jak dąb, pod pięćdziesiątkę, w futrze z kołnierzem bobrowym. Gdy dziecko się maże, wszyscy współczują, wszyscy się troszczą, uspokajają. Ale stary? Pomyślą że się upił.

Starość to okres plonu całego życia. A jeśli ktoś życie swe pomylił... Któż ma litość nad błędami starego...? „Trzeba było inaczej pokierować życiem, mój panie".

Ściemniało się.

Korzystając, że świateł jeszcze nie zapalono, pochylił się — pochylał coraz niżej w swym kącie i płakał bezsilnemi łzami starości.

Kelnerzy zawirowali po salach. Dotknęli kontaktów. Rozbłysła nagle wstęga żarówek.

Michał wstał, zatulił się w kołnierz, zapłacił.

Szedł, okutany w futro, wyprostowany. Przed szybami cukierni stał malec z gazetami, tulił spłaszczony nos do szyby i przechodził chciwym wzrokiem po tortach i ciastkach. Rzucił na Michała oczyma, mówiącemi wyraźnie: „Taki to może na wszystko sobie pozwolić"! Michał zrozumiał, ale nie ruszył palcem. „Niech cierpi. Niech i inni, prócz niego, cierpią na świecie. Czyż nad nim miano litość".

Od Wisły wiało chłodem. „Czyżby los przywiódł mię tutaj"?

Niema losu, niema tragicznych ananke na świecię. Życie jest łańcuchem drobnych faktów, niema w nim ani logiki, ani celu, idzie sobie tak jak idzie. Szczęście i nieszczęście to przypadkowe zdarzenia, bez znaczenia, jak deszcz lub pogoda. Jednemu się udaje, innemu się nie udaje, i niema co się nad tem głowić...

I znowu zobaczy salon, Żenię, córki mistrza...

Targnął nim ból i wściekłość. Przeczucie tego co przeszło obok niego, co mogło być, lecz nie było i nie będzie nigdy jego udziałem, olśniło go, wydarło z ust ryk:

— Ludzie, ratujcie!

Stoi samotny pośród swego obłędu, swego bólu. Rzucił się jak do ucieczki. Dokąd?!...

W ciemnościach zalewających mózg biegnie znów udręczona pamięć ku tym, którzy dawno już są tylko wspomnieniem i którzy by go może nawet nie zrozumieli. Skarży się rykiem zarzynanego zwierzęcia:

— Ojcze! Matko!

Powtarza wciąż te słowa. Powtarza..

Powtarzał coraz bezdźwięczniej, coraz bardziej machinalnie.

Naprawdę prowadził z sobą samym całkiem inną rozmowę. Prostą, nieubłaganą.

Był teraz w łazienkach.

Czarne drzewa na sinym śniegu. Ciemne, nieprzeniknione dale. Okrutny chłód od stawów zlodowaciałych.

Przyjdzie wiosna, wróci. Wróci zieleń, zanucą słowiki. Ale cóż z tego? Cóż dla mnie... co dla innych...

Za lat tysiąc wygrzebie szpadel kopacza czaszkę moją, stęgłą na kamień.

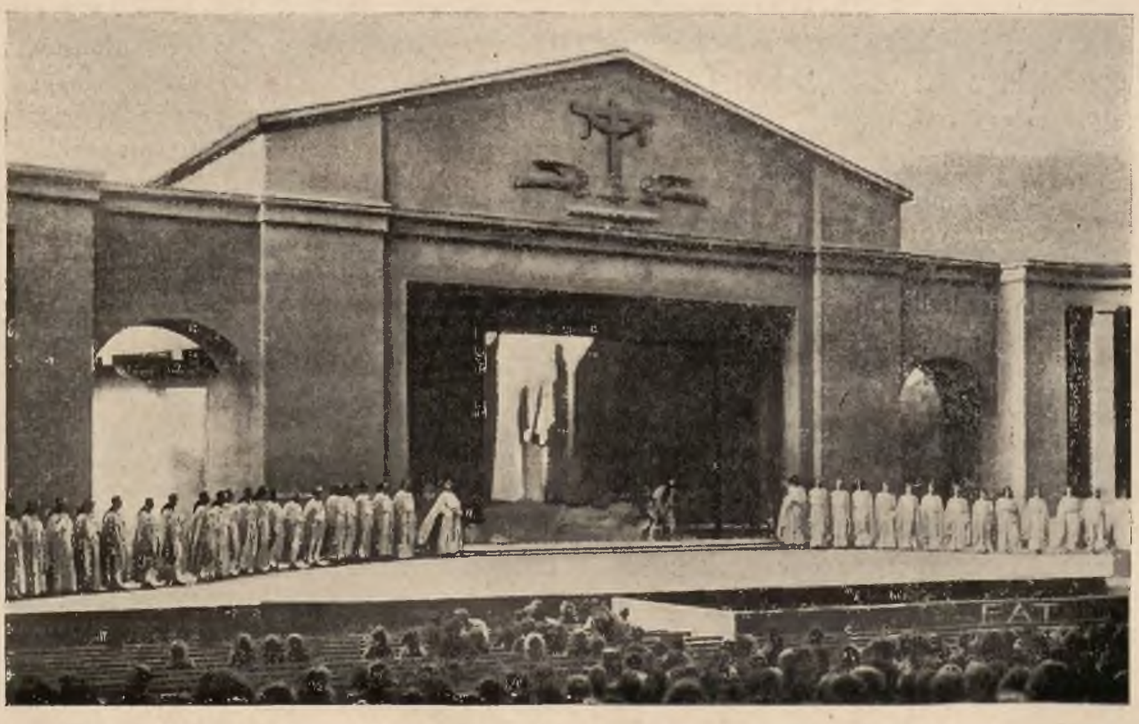
Poczucie bezwartości wszystkiego do czegoby można jeszcze dążyć mrozi do szpiku kości. Do ust przywiera uśmiech obojętny, już nie z tego świata.

Czarne płachty na całym obszarze nieba i ziemi. I gdzieś w duszy czy już w innych sferach grająca szósta symfonja Czajkowskiego—przeciągłe, wydłużone, czyste, nieprzełożone na mowę ludzką dźwięki wieczności...

* * *

Nazajutrz wszystkie dzienniki pisały o zagadkowej śmierci w Łazienkach. Ofiara, jak się okazało, znany w szerszych kołach i t. d. Śledztwo wykaże i t. d. Samobójstwo jest absolutnie wykluczone, bo właśnie wczoraj obchodzono w domu jego radosną uroczystość zaręczyn najstarszej córki, panny Jadwigi...

Marion.



Uruczystości pasyjne w Oberammergau

CISZA ZIMY.

*Niebo jest blade, ziemi snem długim przejęte,
nie śmie błysnąć promykiem jasnym — może czeka
na jakąś wieść tajemną, co ma przyjść przed kwietniem
w niespokojnie kapryśnych słonecznych uśmiechach.*

*Lecz ja tak właśnie dzisiaj każdym swym oddechem
radość chłonę, przez ziemię jak przez wieczność idę,
tyle szczęścia ma w sobie pól daleka przestrzeń,
zagubia i ucisza wszelką ludzką krzywdę.*

*Pragnienia wszystkie były jak skrzydła motyle,
nawet radość zbyt mocna blask ich świeży starła —
a to niebo, co dziś się nad ziemią pochyla,
jest ciche, nieruchome, jak pokoju sztandar;*

*zagarnęło mgłę smutków mych od łez aż ciężką,
już jej znaleźć nie zdołam pośród pól tych białych
ośnieżonej równiny — więc słucham jak lekko
serce bije w takt mocnej, wezbranej krwi fali.*

*I nie wiem czy na ziemi tu jest szczęście większe
ponad ciszę spokojną, nieznającą kresu,
która kołysze serca cierpienia najgłębsze
tchem łagodnym, idącym przez najdalszy przestwór.*

JANINA BRZOSTOWSKA.

POKÓJ LUDZIOM.

Pokój ludziom

*Niechaj nigdy groźny wojen zew
ze snu nie zrywa dzieci —
Niechaj nigdy człowiecza krew
na rękach ludzkich nie świeci — — —*

Pokój ludziom...

*Dość mamy bratnich walk —
cichą śmiercią pragniemy umierać!
Niechaj mordercza stal
Oszczędzi pierś bohatera.*

Pokój ludziom...

*Niech ten człowiek, którego zwą: wróg,
stanie nam się bratem, towarzyszem,
na najświętszej z wszystkich dróg,
tej, którą Chrystus przyszedł...*

Pokój ludziom...

*Niech ta droga przemierzy wzdłuż
krainę nienawiści,
niech po wiekach trwogi i burz
tęsknotę za cudem ziści.*

Pokój ludziom...

*Za tym cudem, że pośród nas
stanie Pokoju kościół,
gdy już wejdziemy w szczęśliwy blask
jedynej drogi: miłości.*

JANINA BRZOSTOWSKA.

POZDROWIENIE SKAWY.

*Pozdrów odemnie tę rzekę wesołą,
co płynie pośród naszej ziemi gór,
pozdrów te góry zielone dokoła,
cieniami stoków w jej schodzące nurt.*

*Zanieś im tysiąc tęsknoty pozdrowień
a słów twych będą rodośnie słuchały —
pojmą, odgadną, chociaż im nie powiesz
że to miłości głos najszczerszej, stałej.*

*Bo one dzisiaj jeszcze pamiętają
szczęścia naszego najjaśniejszy blask,
same stroiły je pięknością raju,
same szczodrością swych darzyły łask.*

*Wspomnienie o niem pozostało w ciszy
słodkiej — jak wtenczas — zapachami łąk,
rzeka je w pluskach szybkich fal kołysze,
blaski te same i dziś na niej drżą.*

*Te same cienie są w leśnej zieleni,
co kiedyś serca uciszały rytm —
czas modrych niebios ani chmur nie zmienił,
lecących w światłach coraz nowych dni.*

*Więc gdy szedł będziesz brzegami tej rzeki,
ku której często zwracaliśmy krok,
odpowie tobie fal westchnieniem lekkiem
na pozdrowienie to z dalekich stron..*

*Góry odkryją z chmur wysokie czoła
by w zamyśleniu słuchać twoich słów —
choć imię moje niegłośno zawołasz
w echach powtórzą je dokoła stu.*

JANINA BRZOSTOWSKA.

SKARBY WYDARTE MORZU I ZIEMI

Prace wykopaliskowe i restauracyjne, dzięki którym objawiły się współczesnemu światu dawno umarłe kultury, odżyły w ostatnich latach po przerwie, spowodowanej wojną. Italja, której pęd ku wielkości znajduje historyczne uzasadnienie w potędze dawnego imperjum rzymskiego, skwapliwie popiera wszelkie wysiłki odtworzenia czasów i dzieł, moc ową uzewnętrzniających. W Rzymie prowadzone są systematyczne prace nad odkryciem i przywróceniem dawnego wyglądu t. zw. „rynkom Cezarów" nad Tybrem. Równocześnie w Pompeji, mieście zasypanem niegdyś (79 r. po Chr.) popiołem Wezuwiusza, a odkopanem zaledwie w $^2/_5$ — trwaja bez przerwy poszukiwania w słusznej nadziei, że nieodkryta jeszcze część miasta kryje przed archeologami niejedno arcydzieło. Jak niezawodną jest ta nadzieja, stwierdzają ostatnio dokonane wspaniałe odkrycia. Przy świeżo odkopanej Via dell'Abbondanza, niegdyś zapewne najżywszej arterji handlowej miasta leży, t. zw. „dom Menandra". Sciany domów tej ulicy, pokryte jaskrawemi napisami wyborczemi, trwalszemi nieco, niż nasze dzisiejsze afisze, malowanemi szyldami sklepów i warsztatów, wizerunkami bogów opiekuńczych, pozwalają wejrzeć wgląb dawnego, bujnego życia tej drobnomieszczańskiej dzielnicy. Właścicielem „domu Menandra" był zapewne jakiś bogaty kupiec. Gdy groza zawisła nad miastem, postanowiono uciekać, unosząc z sobą najcenniejsze skarby. Ułożono więc starannie w drewnianej, mocno okutej skrzyni przepiękny serwis srebrny, arcydzieło kunsztu cyzelatorskiego, oraz kosztowne złote ozdoby, wysadzane szlachetnemi kamieniami, zbiór pierścieni, zausznic i naramienników, razem 115 sztuk. — Ale nieszczęście przyszło prędzej. Skrzynię, porzucono w popłochu, a przechowaną pod ochronną warstwą popiołu, znalazł prof. Majuri, kierujący pracami odkrywczemi w Pompeji. Cenne naczynia i ozdoby, nienaruszone, jakby świeżo wyszłe z pod ręki artysty, wzbogaciły włoskie muzea.

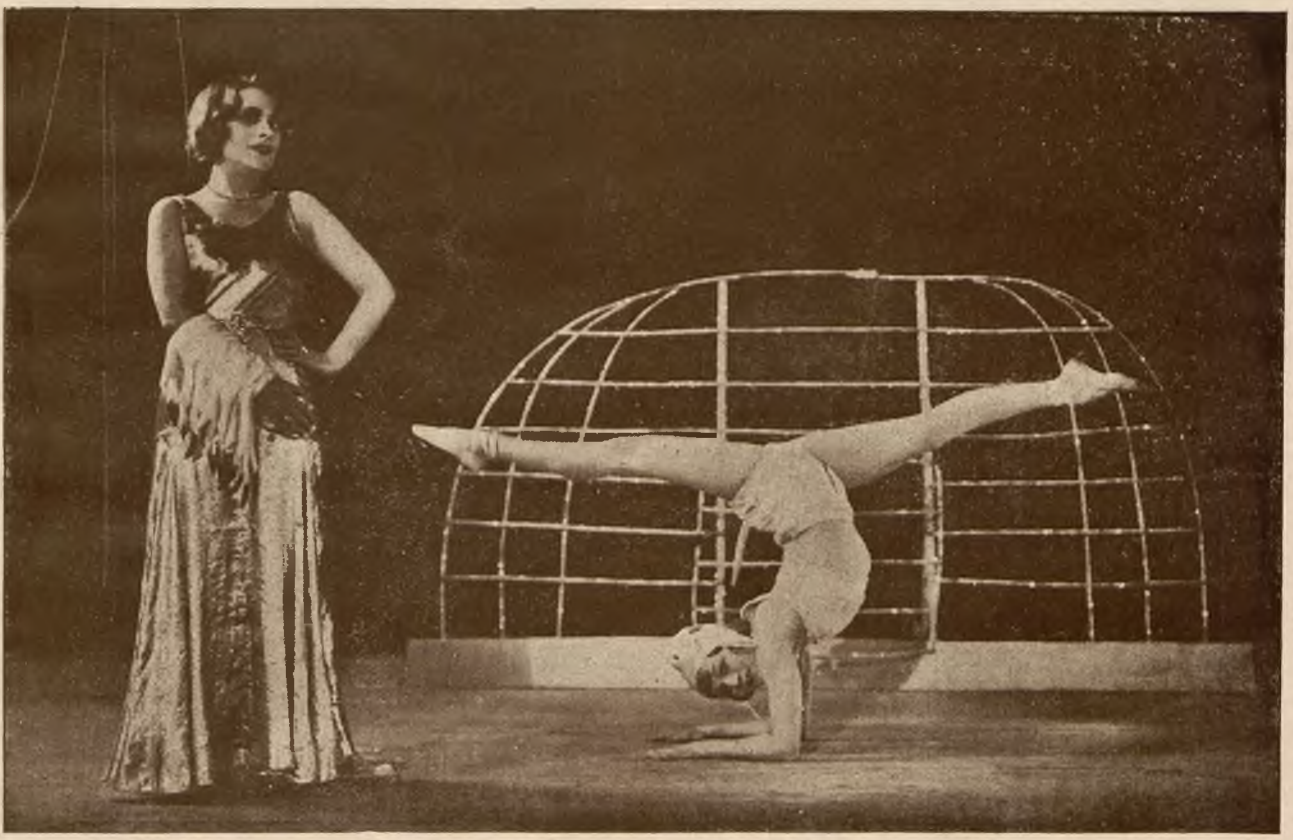
Lecz gruzy i popiół „ognistego deszczu" przechowały skarb jeszcze cenniejszy. Poza miastem, przy „ulicy grobów", w miejscu oddalonem od wrzawy pospólstwa, leżała „willa misterjów", nazwana tak od najwspanialszego fresku starożytnego świata, zdobiącego jej ściany wewnętrzne. W atrium tej willi odkrył prof. Majuri przedziwny marmurowy posąg niewieści. Klasycznie piękna twarz, opromieniona blaskiem młodości, smukła postać w szatach, przypominających westalki, przedstawia jedną z najwybitniejszych rzymskich cesarzowych, Liwję Augustę. Liwja była czwartą żoną Augusta. Pochodziła z rodu Klaudjuszów, wcześnie wydana za mąż za swego stryjecznego brata Tyberjusza Klaudjusza Nerona, obdarzyła go synem Tyberjuszem. Skończyła zaledwie lat 19, gdy na drodze jej życia stanął August. Zapłonął ku niej tak silnem uczuciem, że wkrótce zmusił Klaudjusza do odstąpienia mu Liwji, sam rozwiódłszy się wprzód z trzecią żoną, matką Julji Agryppiny. W r. 39 prz. Chr. uroczyście zawarto małżeństwo, dzięki któremu Liwja stała się panią świata. Już w cesarskim pałacu przyszedł na świat Druzus, drugi syn Liwji i Klaudjusza. August adoptował obu synów swej żony — i odtąd rozpoczyna się w domu cesarza cicha walka o następstwo tronu między rodem Klaudjuszów, którego przedstawicielką była Liwja, pragnąca pozyskać tron po Auguście dla swego starszego syna Tyberjusza — a rodem Julijskim, którego przedstawiciel, August, pragnął zapewnić tron swemu siostrzeńcowi Marcellusowi, a po jego przedwczesnej śmierci, swemu zięciowi, Agryppie, wreszcie jego synom. Złośliwi historycy twierdzą, że Liwji nieobce były powody tajemniczej śmierci wszystkich po kolei przewi-





Wesoły Wieczór: Rewja p. t. „Idzie wiosna"

Fot. Brzozowski



Morskie Oko: Rewja p. t. „Sympatja Warszawy"

Fot. Brzozowski

LIMA — STOLICA PERU



Wodospad z bronzu i marmuru, ofiarowany m. Limie przez kolonię chińską w r. 1921



Pasaż „Carmen"



Ministerstwo Gospodarstwa Narodowego



Bazylika Św. Róży

RZYM WSPÓŁCZESNY



Ministerstwo Wychowania Narodowego — Enit



Most na Tybrze i Ministerstwo Marynarki — Enit



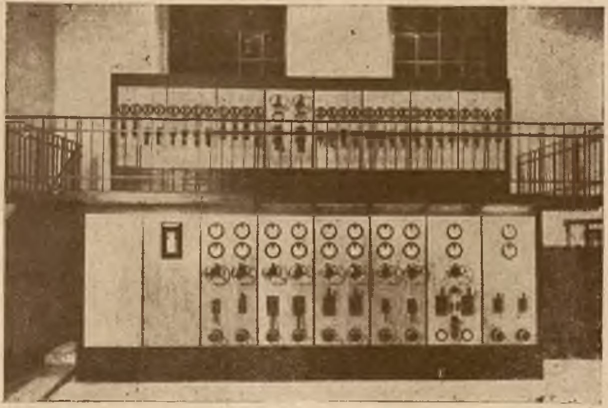
Pałac automobilowy — Enit



Szpital zbudowany przez Mussoliniego — Enit



Nowa centrala elektryczna w Citta del Vaticano



Tablica rozdzielcza nowej elektrowni w Citta del Vaticano



Teatr Polski: Akt I-szy „Lekarza na rozdrożu" sztuki Bernarda Shaw'a
Od lewej: Bogusiński, Samborski, Dominiak, Stanisławski, Karbowski

Fot. Brzozowski



Teatr Wielki: „Król kochanek" Grudzińska, Gruszczyński

Fot. Malarski



dzianych następców Augusta — podobno nawet sam sędziwy, bo 76 letni cesarz, uwielbiający żonę aż po koniec dni swego żywota, miał z jej ręki otrzymać truciznę w czasie podróży do południowej Italji. Współcześni jednak widocznie o tem nie wiedzieli. Augusta zaliczono w poczet bogów, Liwję zaś mianował senat rzymski arcykapłanką kultu zmarłego małżonka i przewodniczką nowego kolegjum kapłańskiego. Pełniąc ten zaszczytny urząd, dożyła późnego wieku 86 lat — i zmarła w r. 44, otoczona czcią powszechną. Świeżo odkryty posąg prawdopodobnie przedstawia tę wybitną kobietę w jej ostatniej roli.

Rząd włoski, nie ograniczając się do poszukiwań w Rzymie i Pompeji, poparł wydatnio inicjatywę prywatną na Sycylji, gdzie wzniesiono z gruzów kolumny świątyń greckich w Selinuncie i Agrygencie. Olbrzymia świątynia Herkulesa w Agrygencie, zwalona nie ręką ludzką, lecz jakimś kataklizmem przyrody, zapewne jednem w owych trzęsień ziemi, tak częstych w tej wulkanicznej okolicy, przez wieki tworzyła rumowisko potężnych głazów, używanych przez kolejnych zdobywców do różnych budowli. Z tego, co ocalało, udało się wznieść 8 kolumn, świadczących o świetności i bogactwie kolonij greckich w południowej Italji i na Sycylji.

Wmiejsce dawnych archeologów-amatorów, zwłaszcza angielskich, których rabunkową gospodarkę w Grecji porównać można chyba tylko z korsarstwem, wszędzie obecnie rząd przeprowadza poszukiwania, zapobiegając wywożeniu z kraju znalezionych arcydzieł. Niedawno wydobyto z dna morskiego w ateńskim porcie Pireus marmurowy posąg Posejdona. Olbrzymi tors boga, który „powstał z morza“, zapewne kiedyś przed wiekami zrabowano z greckiej świątyni i wieziono do Italji, by nim ozdobić willę jakiegoś rzymskiego dorobkiewicza. Lecz potężne bóstwo nie dopuściło tej hańby i wolało skryć się w falach poddanego mu żywiołu. Ostatnio wyłowiono z dna morskiego w okolicy Pireusu kilka przepysznych fragmentów. Są to płaskorzeźby, niegdyś zdobiące zapewne świątynie w porcie, którą jakiś kataklizm zwalił na dno morskie, a może zazdrosny Posejdon zatopił okręt, uwożący je od brzegów ojczystych?

Najpiękniejsze fragmenty przedstawiają: 1) scenę przystrajania grobu przez mężczyznę i kobietę, 2) walczącego wojownika i 3) ranną amazonkę, podtrzymywaną przez żołnierza. Nadzwyczaj subtelne wykończenie szczegółów i ruchy postaci wskazują na epokę późniejszą, zapewne ostatnie wieki przed — lub pierwsze po Chrystusie.

Wanda Germain.

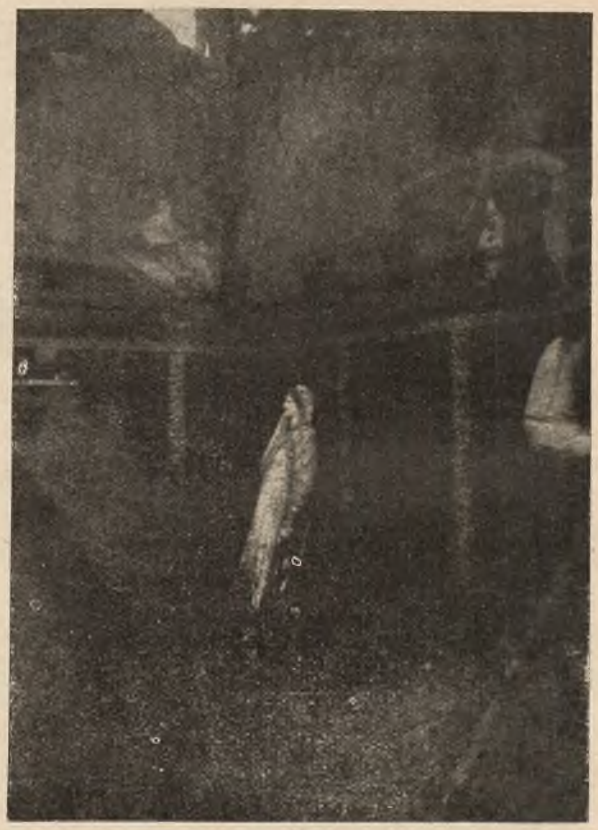
ODPOWIEDZ...

Czemuż to nieraz, gdy tulę Twe dłonie,
Oczyma wisząc na Twych ust uśmiechu,
Nagle płomieniem rozgorzą mi skronie,
A myśl zatracę w jakimś słodkim echu,
Co z piersi bijąc — jak stu strunne granie,
Wskroś mię przenika i mózg mi przewierca,
Że słucham bacznie.. czy to zwiastowanie?
Bije potężny dzwon... gdzieś, koło serca!
Czemuż to wonczas myślom nie dam dobiedz
Słowem do Ciebie?... Czemuż to? Odpowiedz!

I czemuż? jeśli wskroś siłą wydarte,
Zbiegną się szarą, przygodną gromadą,
To takie — biedne, szablonem utarte,
Gasnąc bez echa — do stóp Ci się kładą...
Miast huraganem iść i myśl Ci spętać,
Za sobą porwać w świat Jej wszystkie tchnienia,
Byś, choć nie zechcesz — musiała pamiętać...
I choć się boisz — wierzyła w marzenia...
Czemuż ja wonczas, jak głodny wędrowiec,
Żebrzę — miast zdobyć. Czemuż to? Odpowiedz!

Stanisław Czaplicki





Posąg cesarzowej Liwji



Wojownik grecki



Ozdabianie grobów



Teatr Polski: B. Shaw „Lekarz na rozdrożu" M Kamińska



Teatr Mały: „Koniec i początek"
pp. Maszyński, Romanówna, Frytsze

NA MARGINESIE BUNTU MŁODZIEŻY

Pisać o „Buncie młodzieży" jak o przeciętnej nowości, jaka ukazuje się na rynku księgarskim, jest wręcz niepodobieństwem. Nie jest to bowiem utwór literacki, o walory artystyczne nie kusi się nawet sędzia z Deuver, nie jest to też, ściśle biorąc, rozprawa naukowa. Sędzia Lindsey pracuje dziesiątki lat, zbiera całą masę faktów i obserwacyj, udaje mu się rozstrzygnąć cały szereg konfliktów, wynikłych z rodzenia się w łonie starego, strupieszałego Kodeksu moralności nowej, buntowniczej etyki, etyki młodzieży — i ma odwagę etykę tą uchwycić niejako „in statu nascendi" i ukazuje ją naszym przerażonym, aż nazbyt „moralnym" oczom. Sprawy te znamy wszyscy, w tajemnicy, ukryci za chińskim murem Konwenansu, prowadzimy o nich długie „nocne rodaków rozmowy" — lecz głośno mówić, a zwłaszcza pisać o nich — cóż znowu? Shoking!

To też zasługą Lindsey'a jest fakt, że zaczął pierwszy o tem mówić, a że jest przytem uczciwy, że nie przemilcza o fałszywej pruderji, przeciwnie, ma odwagę, wyraźnie piętnować błędy obecnego ustroju — tem więcej możemy mu wierzyć.

Nie będę tymczasem omawiał wszystkich rozpatrywanych przez Lindsey'a zagadnień, wystarczy poruszyć jedno, by utonąć w całem morzu problemów, by napotkać tysiączne opory konwenansowego „o tem się nie mówi". To też pragnę poruszyć tu jedną tylko sprawę, tem więcej, że zetknąłem się w ostatnich czasach z kilkoma faktami, które nietylko domagają się wszechstronnego oświetlenia, lecz wymową swą powinny zmusić każdego uczciwego człowieka do zabrania głosu, do podniesienia larum — źle się dzieje.

Chodzi o tak zwaną kwestję szczerości, kwestję wzajemnego porozumienia się i rozumienia pomiędzy szkołą a młodzieżą, pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Czytam ostatnio w rubryce wypadków:

— W liceum Krzemienieckiem czternastoletnia dziewczyna po otrzymaniu na półrocze z sześciu przedmiotów stopni niedostatecznych rzuciła się pod pociąg w obawie przed ojcem alkoholikiem.

— W Dolinie pod Stanisławowem siedemnastoletni uczeń szóstej klasy, ukarany przez jednego z profesorów siedmiogodzinnym karcerem za rzekome niesforne zachowanie się, pozbawił się życia przez powieszenie w sali szkolnej Nadmienić należy, że chłopiec ten uchodził za wzorowego ucznia.

Nasuwa się odrazu palące pytanie: O czem świadczą te wypadki? I na to pytanie między innemi daje odpowiedź książka Lindsey'a, sędziego z dalekiego Deuver.

Celowo więc ominę tu całą ogromną dziedzinę etyki seksualnej współczesnej młodzieży — główny i istotny „Buntu młodzieży" temat i zatrzymam się nad sprawą inną, która aczkolwiek w mniejszym

stopniu zajmuje uwagę Lindsey'a, lecz przewijając się czerwoną nicią przez całe życie współczesnego młodego pokolenia, jest i w książce Lindsey'a leitmotiwem, do którego chcąc nie chcąc autor stale powraca.

Z dziwną zarozumiałością i brakiem zrozumienia dorośli wzruszają ramionami, gdy mówi się o odrębności psychiki, a więc tem samem moralności młodzieży. Zajmuje się tem coprawda pedagogja eksperymentalna — lecz praktycznych wskazań na złagodzenie chociażby rodzących się wciąż pomiędzy etyką dwu pokoleń konfliktów dać nie może, gdyż musi je dać życie.

Owa odrębność etycznego stanowiska młodzieży zdaje się wypływać z dwu przyczyn—z konserwatywnego pod każdym względem i oportunistycznego stanowiska starszych i z braku wzajemnego pomiędzy dwoma pokoleniami zrozumienia i szacunku.

Z głęboką nieufnością i niechęcią zazwyczaj odnoszą się starsi do wszelkich poczynań młodzieży w kierunku naprawy życia społecznego, wszelkie próby inowacji w jakiejbądź sprawie, czy to w kwestjach ekonomicznych, czy też w kwestji etyki seksualnej, próby, które prawie zawsze wychodzą z łona młodzieży, najczęściej, z reguły zawsze, rzec można, spotykają się z ostrą i bezwzględną krytyką i oporem starszych.

Nabyta z wiekiem niechęć do uskuteczniania jakichkolwiek zmian w światopoglądzie, a raczej w przyzwyczajeniach codziennego życia, niełatwo może się pogodzić z reformistycznemi dążnościami młodzieży, która bardziej czuła na wymogi niepowstrzymanego nigdy prądu życia, dusi się w narzuconej jej przemocą atmosferze, a „jeśli działa nierozważnie — twierdzi Lindsey — to dlatego, że najczęściej ponosi ją nadmiar energji, wyobraźni i odwagi, oraz brak doświadczenia, wiedzy i zrozumienia, za co wina spada na nieodpowiednie wychowanie".

Brak tolerancji ze strony rodziców i szkoły, niechęć zrozumienia i uznania mimowolnych błędów, narzucanie młodzieży własnej, przeżytej dziś i z gruntu fałszywej etyki sprawia, że młodzież sama szuka własnych dróg i posiada głęboką niewiarę w stosunku do swych rodziców i t. zw. wychowawców.

To też siłą rzeczy wytwarzają się dwa światy, nierozumiejące się nawzajem i wzajemnie wykluczające się i z jednej strony reformistycznie, rewolucyjnie w stosunku do życia nastrojona młodzież z drugiej — oportunistyczni rodzice i szkoła.

Do pogłębienia się tej przepaści pomiędzy dwoma pokoleniami w znacznym stopniu przyczynia się nieszczerość starszych, strusi lęk przed przedstawianiem młodzieży wszechstronnego obrazu życia, jakgdyby istotnie bajeczki o bocianie mogły zaspokoić i powstrzymać naturalne u młodzieży dążenie poznania prawdy. Niestety, poprostu niemoralną jest rzeczą, że rodzice i szkoła dopuszczają, że dziecko prawdy tej dowiaduje się z ust przygodnych, zawsze niepowołanych informatorów. Znam wypadki, gdy ten pełen fałszywej pruderji wstyd, który nie pozwalał rodzicom (nie mówię już o szkole, gdyż o niej w tym wypadku wogóle nie warto mówić!) poinformować dzieci w sprawach najbardziej dla nich istotnych w sprawach płci — był przyczyną całego szeregu nieszczęść, do zboczeń płciowych włącznie.

Lecz nie tylko w sprawach seksualnych — istnieje w stosunku do młodzieży najobrzydliwsza dwulicowość; starsi tworzą specjalne dla użytku młodzieży kryterja moralności, kryterja nie mające nic wspólnego ani z tą moralnością, jaką kierują się sami, ani z wymogami rozsądku i życia.

Dziecko nie ma prawa mieć własnego zdania, nigdy nie ma racji, nawet w sprawach, na których niekiedy zna się lepiej od swych opiekunów, a jeśli istotnie popełnia jakiś błąd, gdyż jest przecież tylko dzieckiem — spotyka się z zarzutem, że wszak powinno wiedzieć, jak należy postępować! Zaklęte koło.

Nie są to, jakby się zdawać mogło, sporadyczne wypadki, zdarzające się w wyjątkowo niekulturalnych rodzinach, a już nigdy chyba w szkołach — z podobnym do młodzieży stosunkiem spotykamy się stale, tak często, że już tego rodzaju faktów nie spostrzegamy.

Wiąże się z tem ściśle brak poszanowania godnoś i młodzieży. Jesteśmy podobno wysoce kulturalni, w szkołach od dawna zniesiono jakoby karę cielesną, coraz rzadziej słyszy się o faktach bicia dzieci przez rodziców, a jednak taki wypadek, jaki miał miejsce w Dolinie -- mojem zdaniem ma za podłoże właśnie nieposzanowanie godności ucznia przez poddanie go hańbiącej (chociażby tylko w pojęciu tego ucznia!) karze karceru. Można oczywiście sprzeczać się co do sposobu rozwiązania sytuacji, jaką wybrał ów uczeń, można mówić o przewrażliwieniu, o chorobliwem podnieceniu nerwowem, o niemożności ścisłego indywidualizowania w wyborze kar, które jakoby w wychowywaniu młodzieży — takie czy inne, są konieczne — fakt pozostaje faktem: Stała się zbrodnia i tego rodzaju zbrodnie, choć nie zawsze prowadzą do tak tragicznego finału — zdarzają się codzień.

Winą tu jest brak ścisłego kontaktu pomiędzy uczniem a wychowawcą, brak wzajemnego zaufania i szczerości. Rodzice i szkoła to dla dziecka złe bożyszcza, które karzą za grzechy, a których należy tylko bać się i unikać wejścia w bliższe z nimi stosunki. Jestem najgłębiej przekonany, że ta dziewczyna, która w obawie przed gniewem, a może razami ojca za przyniesione do domu dwóje rzuca się pod pociąg — żyłaby dotąd, gdyby, szkoła potrafiła wytworzyć w niej zaufanie, gdyby

dziewczyna ta śmiało i szczerze mogła udać się do wychowawców i prosić o wytłumaczenie ojcu, że dwója nie jest jeszcze przestępstwem.

Wątpliwem jest, by sprawa wzajemnego porozumienia młodzieży i starszego pokolenia — weszła odrazu na lepsze tory, wątpliwe także, byśmy w innych kwestjach, a są ich tysiące — wszak zaledwie dotknąłem tutaj pobieżnie jednej z nich, potrafili dokonać przebudowy podstawowych zasad wychowania, a tem samem przebudowy całego ustroju społecznego — pozostaje tylko wierzyć, że kiedyś to nastąpi — i że dokona tego właśnie młodzież. Musimy powiedzieć sobie za Lindsey'em:

„Mojem zdaniem twierdzenie, że skończyliśmy już z paleniem czarownic jest nieuzasadnione. Lecz możemy skończyć i mam nadzieję, że kiedyś to nastąpi. Może zmiany te przeprowadzi dzisiejsza młodzież, która parska śmiechem, kiedy dorośli mówią o czarownicach. Lecz młodzież sama nie podoła. Mądrość, doświadczenie i ostrożność dojrzałego wieku są też potrzebne, zbędny natomiast całkowicie jest jego konserwatywny idjotyzm i dokąd on panuje, spodziewać się można ze strony starszych tylko trudności. Młodzież zmuszona będzie iść bez przewodnika po niebezpiecznej ścieżce reform. Właściwie już idzie". S. P.



Ghandi zmierzający do pałacu wice-króla Indyj lorda Irvina w celu podpisania „pokoju" w Nev-Delli



Młoda utalentowana artystka-malarka miss Honda w swej pracowni

DWÓR MODRZEWIOWY

Szlachecki domu — modrzewiowy dworze,
Do dziś nad tobą wiąz z wichrami gwarzy
I kryje stare kule w swojej korze,
Które za ciebie niegdyś wziął w twej straży...
Ileż to wspomnień i myśli się ciśnie,
Gdy patrzę na twe stare, drogie ściany.
Ileż to razy w oku łza zabłyśnie —
Kiedy przypomnisz fakt, już zapomniany
I kiedy przeszłość twoja mnie rozmarzy,
Ty... ty... najlepszy z polskich kronikarzy.

Nie zawsze byłeś jako dziś sterany,
Twych kształtów ongiś nie krył mech ni grzyby..
Jako wieżyce — dumne były ściany...
Młodzieńczym ogniem lśniły twoje szyby.
Dzisiaj u schyłku długiego żywota,
Choć już twą przeszłość pokryły popioły,
Nieraz zabłyśniesz w słońcu, jak ze złota —
Jak by ci młodość wróciły anioły...
I dumnie sterczysz, jak dawniej — jak nowy..
Boś ty najbardziej polski — modrzewiowy...

Stanisław Czaplicki



Amazonka powstrzymywana przez żołnierza

PERU

(DOKOŃCZENIE)

Dzisiejsze Peru zajmuje powierzchnię około 1.900.000 kilometrów kwadratowych na których zamieszkuje 8½ miljona ludzi.

Będąc od czasów Pizarra aż do r. 1824 pod panowaniem Hiszpanji, Peru, które było ongiś najpotężniejszem imperjum lądu amerykańskiego, stało się kolonją, zależną tak politycznie jak i gospodarczo od swej metropolji — Hiszpanji.

Uzyskawszy w grudniu 1824 r. po słynnej bitwie pod Ayacucho znów niepodległość, zawikłane zostało Peru w różne wojny i zamieszki, które skończyły się w 1883 r. ostatnią wojną z Chili.

Odtąd też stawszy się państwem bardzo mocnej władzy, mimo bardzo uszczuplonych stosunkowo granic, Peru szybkim krokiem wstępowało na drogę samodzielnego rozwoju politycznego i ekonomicznego.

Dzisiejsze Peru dzieli się na trzy części: nadbrzeżną, czyli Costa, zajmującą 8% ogólnej powierzchni, górską czyli Sierra, zajmującą około 65% i lesistą czyli Montania, zajmującą 27% ogólnej powierzchni kraju.

Aczkolwiek Peru ze względu na swe położenie geograficzne należy do krajów tropikalnych, jednak ma klimat umiarkowany, dzięki przepływającemu w pobliżu brzegów peruwiańskich zimnemu prądowi morskiemu zwanemu „prądem Humboldta"; dlatego też średnia temperatura lata wynosi plus minus 27,3° C., średnia temperatura zimy plus 12,5° C., podczas gdy powinna wynosić plus 38,4° C. i plus 15° C.

Opady są bardzo niejednostajne: w nadbrzeżnej części kraju opady deszczowe bywają zaledwie raz na 5 do 12 lat i zwiększają się w miarę posuwania się na wschód i na północo-wschód ku granicy brazylijskiej i kolumbijskiej, gdzie opady są bardzo obfite.

Opady śnieżne zaczynają się dopiero na wysokościach powyżej 3600 m. nad poziomem morza, granica zaś wiecznego śniegu zaczyna się na wysokościach powyżej 5000 m.

Ponieważ w Peru są wszelkie możliwe klimaty suche i wilgotne, zimne i gorące, można więc sobie wyobrazić, jaka jest różnorodność flory.

Pobrzeże Peru jest bardzo ubogie w roślinność. Grunt jest nieco słony, brak wody i deszczów uniemożliwia wegetację roślin, poza cudnemi oazami. Natomiast w lasach wschodnich rośnie przeszło 10 000 gatunków różnych drzew, jak cedry, mahonie, palisandry, setki rodzajów palm, drzewa owocowe, kakao, wanilja i inne. Wschodnia część Andów pokryta jest bogatą roślinnością w zachodniej części Andów istnieją lasy podobne do europejskich, jak również dużo eukaliptusów.

W dolinach Andów roślinność przypomina parki europejskie: grupy drzew ukwieconych tworzą małe gaje. Wiele jest krzewów i kaktusów, są też i łąki, jak w Polsce. Dalej na wschód roślinność jest coraz bogatsza; tak lasy jak łąki ukazują coraz to nowe gatunki drzew i roślin. Palmy tworzą lasy. W dorzeczu Amazonki napotyka się miejscowości bezleśne, tylko stepy urozmaicone pojedyńczemi drzewami, są to t tw. „sawanny". Widok wybrzeża Peru jest smutny, gdyż skały są przeważnie z czarnego łupku, przecięte głębokiemi parowami. Są też ogromne przestrzenie, gdzie niema ani jednej trawki; piasek jedynie pokrywa powierzchnie szarą barwą popiołu.

W zimie góry nadmorskie pokrywają się pod wpływem mgły pewną roślinnością, rośliny rozwijają swe kłącza i kwitną, robiąc wrażenie bardzo dodatnie, a w listopadzie jednak wszystko jest już spalone przez słońce i pustynne.

Fauna jest taka sama jak i flora: o ile nad wybrzeżem bardzo uboga, o tyle na wschodzie bardzo różnorodna. Egzotyczne Peru — to tylko wschodnia jego część.

Ze zwierząt wielkich — jaguar jest pospolity tylko na wschodzie, w Andach niema go wcale. Pumy są rozpowszechnione w całym kraju; niedźwiedzie tylko na wschodzie ku granicom Brazylji, i Kolumbji. Lamy, alpaki i vigunia tylko w Andach powyżej 3000 metrów, również i nad granicą Boliwji w pobliżu jeziora Titicaca (jezioro to jest najwyżej położonem jeziorem - morzem na świecie, na wysokości 3850 metrów nad poziomem morza. Powierzchnia jeziora jest 15 razy większa niż jeziora genewskiego, głębokość zaś dochodzi 300 metrów). Tapiry, leniwce, peccavi, lamantyny, czyli krowy morskie znajdują się w dorzeczu Amazonki, gdzie żyje również tysiące małp, z których jednak żaden gatunek wzrostem swym nie dosięga 1 mtr.

Morze ma dużo ryb, rekinów jednak niema wcale, są zato lwy morskie, wieloryby, ośmionogi, sepia i t. p. Z ptaków najpospolitszy jest sęp czarny, który podobnie jak kruk żyje padliną. Kongory rzadko widzieć można gdyż żyją jedynie na szczytach gór. W lasach na wschodzie są tysiące papug, są pieprzojady, tukany, tanagry, ary i t. p. W Amazonce są setki różnych ryb, dochodzących do 100 kg. wagi; są również różnego rodzaju węże (nie tak jednak niebezpieczne jak w Brazylji) oraz anoconda, wąż, którego długość dochodzi do 12 metrów (t. zw. boa wodny).

Więcej niż połowę ludności Peru stanowią Indjanie rasy czerwonej. Indjan czystej krwi na zachodzie spotyka się bardzo mało, są oni pomieszani z rasą białą. Czystej krwi Indjan spotyka się na północy nad Amazonką, na granicy brazylijsko-kolumbijskiej lub boliwijskiej oraz w górach.

Najbardziej rozpowszechnione języki indyjskie są Quechua i Aymara (pozatem wszyscy cywilizowani indjanie mówią po hiszpańsku), jest jednak między pozostałemi narodami indyjskiemi kilkanaście języków, które są tak do siebie niepodobne jak grecki do niemieckiego.

Niektóre języki „Dzikich" mają bardzo rozwiniętą gramatykę, są bardzo bogate w wyrazy i mają wszystkie czasy, tak jak grecki lub łacina. Mają czas przeszły i przyszły, zwykły, złożony, warunkowy i t. d. dla jednej osoby, dla dwóch, dla trzech i liczbę mnogą. — I mówią temi językami ludzie nadzy! Dowodzi to jak wspaniałą posiadali kiedyś kulturę i cywilizację! — Peru posiada mnóstwo zabytków przeszłości, mniej znanych i mniej dotąd zbadanych niż egipskie.

Najwięcej dotychczas znane zabytki są w okolicach Cuzco; są tam wielkie fortece Sascachevan, Ollantaitambo, Macchu-Picchu (ogromne miasto zamarłe wśród puszczy położone) budowane z ogromnych bloków granitowych kilometrowej długości; są tam kolumny o formach zupełnie architektonicznie skończonych, pałace, świątynie, statuy i t. d. W zbiorach znajdują się wyroby ze złota i srebra cudownej delikatnej roboty, przepiękne tkaniny lekkie i cienkie jak hinduskie, mumie, piękne wyroby z gliny, różne wazony ozdobione malowidłami, rysunkami i figurami o pięknej formie, niezwykłej fantazji i delikatnych deseniach, tak pięknych, że bez przesady dorównywują najpiękniejszym wazonom etruskim i egipskim. — Wazy najpiękniejsze pochodzą przeważnie z Nazca z grobowców t. zw. „huacas".



Brzeg Pacyfiku

W Peru jest bardzo wiele necropolisów czyli „miast umarłych". Najwięcej znane tego rodzaju miasto jest Pachamac, gdzie jest jakieś 20.000 szkieletów, Chimu i wiele innych. Niewątpliwie i nad Amazonką, w dziewiczych dzisiaj puszczach, była kiedyś cywilizacja, gdyż znaleziono w tamtych okolicach urny grobowe prześlicznie rzeźbione, wyroby złote i srebrne oraz piękne z „jade" (kamienia zielonego znanego w Chinach), tudzież prawdziwe arcydzieła pod postacią figurek z tegoż kamienia rzeźbionych i inne rzeczy.

W tychże okolicach, w puszczach nieprzebytych, przypadkowo odkopano kawałek starożytnej szosy, płytami kamiennemi wykładanej i cementem spojonej. — Skąd i dokąd prowadziły te drogi? Gdzie są te miasta bogate i ludne? Jak legendarna Atlantyda pod powierzchnią oceanu snem wiecznym spoczywa, tak starożytny nieznany nam kraj, być może część tejże Atlantydy lub może jeszcze starszy, spoczywa pod powierzchnią lasów olbrzymich i strzeże te zabytki przed zachłannością białej rasy, tysiące niebezbieczeństw na każdym kroku.

Aczkolwiek dla ogółu Polski to starożytne imperium Incasów wydaje się dalekiem i egzotycznem, powinno jednak specjalnie interesować Polskę ze względu na zasługi Polaków w najnowszej historji Peru. Zbliżenie Polski do Peru rozwiązałoby niejedną trudność ekonomiczną Polski. Polska zmuszona byłaby do zwrócenia baczniejszej uwagi na swoją marynarkę handlową, przez co zaoszczędziłaby kolosalne sumy płacone kolejom zagranicznym i obcym kompanjom okrętowym; otrzymałaby bezpośrednio wszelkie surowce jakie Polsce mogą być potrzebne, nie opłacając pośredników liverpoolskich, hamburskich i innych.

* * *

Na zakończenie słów parę o Polakach w Peru. Pierwszem polskiem nazwiskiem, które w Peru zanotowane było, jest nazwisko przyjaciela i towarzysza wielkiego podróżnika hr. Humboldta — Eugenjusza hr. Oxińskiego-Wrszowica, przyrodnika, geografa i podróżnika po Ameryce Południowej i Australji. Od nazwiska tego, przeszło trzydzieści miejscowości peruwiańskich nosi nazwę „Oxa" np. Oxapamapa, Oxachocha i t. p. W latach 1860 — 1885 spotykamy już cały szereg nazwisk polskich, nazwisk wybitnych ludzi. — Są to przeważnie inżynierowie i przyrodnicy.

Twórcą pierwszej w Peru kolei żelaznej z Limy do Oroya, najwyższej na kuli ziemskiej linji kolejowej, przechodzącej przez szczyty Andów powyżej 5000 m. nad poziomem morza i częściowo w skale wykutej — był Polak, inż. Edmund Malinowski. Założycielem Akademji Inżynierów w Limie w roku 1876 i pierwszym jej dyrektorem przez 34 lata (od 1876 do 1910) był Polak — inż. Edmund Habich (do dnia dzisiejszego rok Akademicki rozpoczyna się uroczystą procesją senatu akademickiego i słuchaczów do pomnika Inż. Habicha zwanego „ojcem młodzieży"). Z pośród pierwszych 10-ciu profesorów Akademji Inżynierów w Limie było 5-u Polaków: Inż. Falkierski, (którego dzieło pt. „Rachunek różniczkowy i całkowy" wydane zostało po polsku w Limie), Inż. Wskulski, Inż. Kluger. Następnie prof. Sztolcman, oraz dwóch profesorów w Akademji Inżynierów w Limie: Inż. Małachowski i Inż. Paprocki.

Starożytny uniwersytet „San Marcos" w Limie (założony w 1551 roku) również liczy w swem gronie jednego polskiego profesora honorowego, jest nim znakomity polski matematyk prof. Dr. W. Sierpiński.

Peruwiańska Akademja Nauk w Limie ma 4 polskie nazwiska: Inż. E. Habicha, Inż. T. Oxińskiego, prof. Dr. W Sierpińskiego i prof. Dr. Zórawskiego.

T. Oxiński.

Prosimy Sz. Prenumeratorów, którzy czy to z powodu niedokładnego adresu, czy to z innej przyczyny nie otrzymali 1-go numeru o natychmiastowe zawiadomienie nas o tem; żądany numer, natychmiast, bezpłatnie dostarczymy.



M. CHERON



Teatr Ateneum. Sztuka Bałuckiego „Dom otwarty" Fot. Brzozowski

KULTURA MUZYCZNA MAS

Wbrew temu co mówią i piszą nieliczni indywidualiści w rodzaju Georges Duhamel'a, współczesność wraz z całym swym aparatem nadmiernie rozwiniętej techniki ciąży stale ku powszechnej demokratyzacji. Nawet sztuka, stanowiąca dotychczas najbardziej może artystyczny i tylko dla nielicznego grona wybranych dostępny wykwit kultury, straciła swój olimpijsko dostojny charakter, wniknęła w życie tłumu i stała się jego nieodzownym składnikiem. Technika nietylko że nie zabija sztuki, lecz od czasu do czasu robi jej injekcję, po której zanonizowana sztuka odżywa zwykle gwałtownie, zawsze niespodziewanie. W ten sposób zaistniało najpierw kino, które stworzyło nową formę kształtowania optycznego, łącząc w sobie dorobek bezmała wszystkich sztuk plastycznych, formę przez swą powszechność i dostępność zrozumiałą dla wszystkich, a potem radjo, które nie będąc właściwie samoistną formą sztuki, dla propagandy kultury artystycznej odegrało rolę tak doniosłą, o jakiej nigdy zapewno nie myśleli jego dawni twórcy.

Mam wrażenie, że swą niezwykłą popularność zawdzięcza w znacznej mierze radjo najpierw młodzieńczej brawurze, a potem zwykłemu snobizmowi. Kiedy pierwsze jaskółki radjofonji dotarły do Polski ludzie starsi i solidni kiwali z niedowierzaniem głowami, a nie chcąc maczać rąk w tej sprawie, aby się przypadkiem nie ośmieszyć, woleli trochę przeczekać aż wykluje się coś definitywniejszego. Lecz w międzyczasie różne pędraki czytały, montowały i pisały i w pewnym momencie zapanowała taka osobliwa sytuacja, że jedyną warstwą, która naprawdę wiedziała co to jest radjo była młodzież szkolna. Koronę szczególnych stosunków stanowił moment, gdy do mojego kolegi szkolnego zwrócił się jeden z profesorów Uniwersytetu z prośbą o wyjaśnienie jakiejś kwestji radjowej, w związku z napisanym przez niego artykułem. Obecnie nastąpiła całkowita normalizacja stosunków i najbardziej nawet solidni ludzie przekonali się, że radjofonja nie jest tylko zwykłą kaczką dziennikarską.

Radjo uzyskało sobie prawo obywatelstwa wśród najszerszych mas narówni, a nawet bardziej niż żarówka elektryczna i telefon. Później do głosu przyszedł snobizm. Radjo stało się modne i każdy za punkt honoru uważał sobie założenie radjo aparatu. Raz założywszy go słuchał, najpierw dlatego, że go to bawiło jako nowość, potem z przyzwyczajenia, a jeszcze potem ponieważ w tem zasmakował.

Pewien znakomity dyrygent berliński zabronił kiedyś nadawania przez radjo 9-ej symfonji Beethowena i swe żądanie motywował tem, że mogą jej słuchać ludzie nieubrani, albo zgoła leżąc, co nie

zgadza się z jej nieziemskiem pięknem. Ten człowiek, pomijając jego bardzo chwalebny kult dla Beethowena, jest reprezentantem grupy, która sztukę uważała jako coś nadludzkiego i dostojnego, coś do czego trzeba było przystępować na kolanach, jak do komunji i w rezultacie doprowadziła do tego, że muzyka stała się wprawdzie bardzo szacownym zbytkiem, ale tylko zbytkiem, którym zainteresować się może tylko nieliczna garstka fachowców.

Muzyka, która królowała w dziewiętnastym wieku z roku na rok traciła na znaczeniu, a sale koncertowe stały się puste jak piaski llano Estacado. Kult muzyki ma wiele wspólnego z paleniem papierosów. Z początku się człowiek krztusi i dopiero po dłuższym czasie rozsmakuje się i ocenia. To porównanie jest zapewne mocno trywjalne, temniemniej jednak zgoła trafnie określa istotę rzeczy. Trudno wymagać od człowieka, który nie nabrał kultury muzycznej, nie nauczył się słuchać muzyki i nie doznał rozkoszy jaką to daje, aby taki człowiek, chodził na koncerty. W większości wypadków wogóle mu na myśl to nie przyjdzie.

Jedyną zaś drogą, nabrania tej koniecznej kultury jest chodzenie na koncerty. Złośliwy los wytworzył zamknięte błędne koło, w którem wszystko obraca się dziwnie, śmiesznie i bezsensownie. Kto wie jak długo jeszcze obracałoby się to luna-parkowe koło śmiechu, gdyby nie cudowna interwencja z zewnątrz.

Metodą „Deus ex machina" wkroczyła w dziedzinę kultury artystycznej i technika sprawiła, że nie ruszając się ze swego pokoju, człowiek może sobie słuchać Chopina, Beethowena i Bacha.

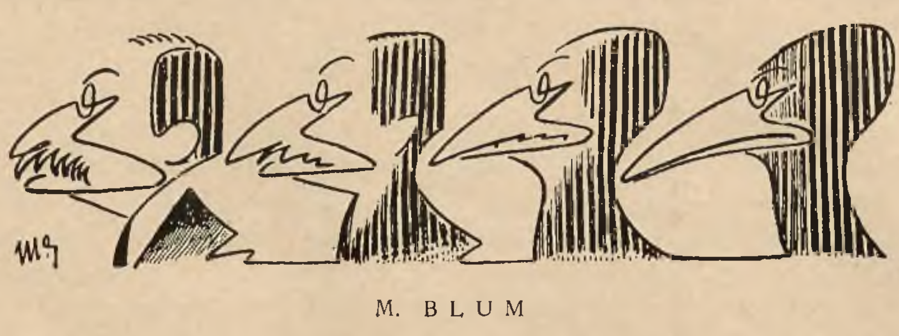
Radjo. Międzynarodowy jezyk muzyki stał się zrozumiały nawet dla tych, którzy przedtem nie podejrzewali jego istnienia. Ludzie zaczęli rozumieć muzykę, a raz zrozumiawszy pokochali ją. Początkowo słuchacz przyjmuje wszystkie programy radjostacji bezkrytycznie, traktując je jako rzecz już istniejącą i niedającą się zmienić. Ale potem w chaosie usłyszanych melodyj wyławia utwory, które podobają mu się bardziej niż inne, klasyfikuje je sobie i wyrabia pewien światopogląd muzyczny. W miarę jak rozszerzają się jego horyzonty estetyczne, człowiek zaczyna z większą rezerwą odnosić się do tego co mu przynosi radjo, chciałby to zmienić i nagiąć do swych zamiłowań. W tym celu pisze szereg listów do radjostacji, a ponieważ zwykle nie odnoszą one żadnego skutku, zaczyna grać sam. Niestosowanie się do życzeń radjosłuchaczy jest największą zasługą Polskiego Radja.

Rozmawiałem niedawno z jednym z pedagogów muzycznych warszawskich, który powiedział mi, że zarówno on, jak i jego koledzy nie mogą wydołać wszystkim zgłoszeniom na lekcję. Jakby jakiś osobliwy prąd przeciągnął przez atmosferę, wszyscy bez różnicy płci i wieku zaczęli nagle uczyć się muzyki. Zawodowi muzycy cierpią na brak pracy, kina jedne po drugich udźwiękawiają się i wyrzucają na bruk coraz nowe zastępy bezrobotnych, a nic nie zwiastuje poprawy sytuacji. Tymczasem szereg osób z zapamiętaniem uczy się grać. W jakim celu? Przecież nie w naiwnem mniemaniu znalezienia sobie na tej drodze utrzymania. Pozostaje jedna hipoteza, że ci ludzie uczą się grać dla przyjemności. Jest to niesłychany fakt dla dzisiejszych tak ciężkich ekonomicznie czasów marnować czas i pieniądze dla zaspokojenia swych ambicji i potrzeb artystycznych. A jednak tak jest. Ta fala umuzykalnienia jaka nas obecnie naszła, a która sprawia, że najbardziej szanowne osoby odkrywają w sobie nagle talenty muzyczne, a sale koncertowe zaczynają napełniać się publicznością, nie jest przynajmniej przypadkowa. Całkiem wyraźnie daje się ona skojarzyć z kilkuletnią działalnością Polskiego Radja i stanowi z całą pewnością jej konieczny rezultat.

To są proste fakty. Nierozsądną rzeczą byłoby wyciąganie z nich zbyt daleko idących konsekwencji.

Trudno jest przypuścić, aby wszyscy ludzie, którzy ostatnio raczyli zajmować się muzyką wykształcili się na znakomitych wirtuozów czy kompozytorów. W każdym razie ten wzrost kultury muzycznej posłuży zapewne jako tło i podstawa, na której mając korzystne warunki, tem łatwiej i doskonalej rozwijać się będą prawdziwe talenty.

J. Zarzycki.



M. BLUM

Pierwiastki poezji staro-germańskiej w utworach Słowackiego

Gdy czytamy utwory J. Słowackiego, uderza nas odrazu coś, co utwory tego poety wyróżnia z pośród innych, co w nas Polakach wywołuje wrażenie pewnej nienaturalności i oryginalności. Cecha owa odróżnia utwory Słowackiego od ogólnego tła współczesnego mu, polskiego dorobku literackiego. Wyświetlmy jej istotę i genezę.

W pierwszym rzędzie ową cechę stanowiła niezwykła w polskiej literaturze, wyrosłej na gruncie staropolskiej, „sarmackiej" rubaszności — delikatność natury Słowackiego, owo przewrażliwienie, niezwykła subtelność, tej mimozowej natury, nieskalanej ohydą niskich żądz, grubo zmysłowych doznań. Ta mimozowość jego natury wyjaśnia nam fakt dlaczego właśnie na jego twórczość taki wpływ wywarła tragedja grecka Eischylosa, Sofoklesa i Eurypidesa. (Wpływ ten szczegółowo zanalizował prof. Sinko w swej pracy o helleniźmie Słowackiego).

Drugą, niemniej jednak ważną, cechę szczegółowo w tej pracy rozpatrzymy. Istota tej drugiej cechy sięga swem pochodzeniem do najpierwotniejszych pokładów literatury, mianowicie: do ludowej poezji polskiej, do jej pierwiastków biegunowo przeciwnych, pierwiastkom ludowej poezji narodów germańskich.

Owe zaś pierwociny literatury, tkwiące w ludowej poezji, są puścizną niezwykle dobrze przechowaną — puścizną duszy starożytnych Słowian i Germanów. Żeby ją zgłębić, należy poznać psychiki tych narodów.

A psychiki tych ras były zasadniczo różne. Słowianie prowadzili tryb życia spokojny, zajmowali się wszak przeważnie rolnictwem. Utrzymywali swój byt z owoców ciężkiej, lecz uczciwej pracy na roli. Same warunki ich bytowania urabiały spokojny charakter; regularny tryb życia sprzyjał ujęciu go w karby praw i zwyczajów — sprzyjał więc wyrobieniu się wysoko rozwiniętego, moralnego poczucia, wyraźnemu skrystalizowaniu, pełnemu uświadomieniu sobie celu, zadań i obowiązków życia ludzkiego. Stąd i poezja ich będzie mieć za motyw przewodni chwalenie dobra, ideałów moralnych i zachęcanie do służenia dobru, zachęcanie zapomocą wykazywania, iż tylko kroczenie drogą dobrą może przynieść człowiekowi szczęście, a złe postępowanie sprowadza nieuchronnie karę nań bądź z niebios, bądź też od ludzkiego prawa, od ludzkiego sądu, wymierzającego sprawiedliwość— bądź wreszcie z samego porządku natury, z konsekwentnej logiki działania jej sił, dzięki któremu próżniak nie zdoła utrzymać swego bytu, a gwałciciel cudzych praw w konsekwencji naraża się na kolejną własną krzywdę z ręki naśladującego jego własne uprzednie postępowanie, a silniejszego odeń wroga, i t. d. Polską poezję ludową więc — podobnie, jak i poezję prasłowiańską — przesycają wysoce moralne pierwiastki, ideały dobra, motywy służenia mu. Poezja ta obiera sobie za temat przeważnie spokojne życie na łonie natury, opiewa i wysławia etyczne czyny bohaterów w ich walce o obronę zagrożonych praw współziomków, opiewa ich szlachetne charaktery, ofiarne ich poświęcanie się za świętą sprawę ojczyzny (podania o Kraku i o Wandzie), ich wytrwanie w dobrem nawet w czasie pokus i doświadczeń życiowych. Wykazuje ich ostateczny triumf nad postaciami ujemnemi, złemi, które — z woli potężnych praw, rządzących bytem, a nadanych przez Nieba—otrzymują zasłużoną karę i szczęście swe, swój byt ostatecznie zaprzepaszczają.

Z zupełnie innych pierwiastków składała się psychika star. Germanów, której ślady pozostały dotąd w poezji ludowej narodów germańskich.

Tryb życia Germanina był nieetyczny; nie zajmował się on bowiem rolnictwem, lecz byt swój zabezpieczał przez oddawanie się myśliwstwu w olbrzymich borach, lub rozbójniczemi łupieskiemi napadami na sąsiednie ludy rolnicze (np: Normańscy wikingowie).

Taki niespokojny, nieregularny tryb życia oczywiście nie mógł wpływać na ugruntowanie moralnego poczucia, na wyrobienie praw, któreby ujmowały w stanowcze karby życie społeczne i czyniły je regularnem. Sposoby bowiem, któremi Germanin zapewniał swój byt, były nacechowane przypadkowością; raz zupełnie złemi wynikami mimo włożonej pracy, innym znów razem obfitą zdobyczą bez pracy, demoralizującą właśnie przez ową łatwość uzyskania; zresztą największa naturalna niemoralność tkwiła w rozboju już przez sam fakt krzywdzenia i mordowania. Oczywiście więc i poezja, która jest zwierciadłem psychiki ludzkości, musiała odmienne zawierać pierwiastki.

Poezja staro-germańska niezna ugruntowanego, wyraźnie skrystalizowanego moralnego poczucia; etyka rozpływa się tu we mgliste, niepewne kształty i wcale nie jest motywem przewodnim staro-germańskiej poezji. Często wręcz przeciwnie: poezja opiewa czyny nieetyczne, gloryfikuje je i przez to do ich naśladowania słuchaczów zachęca! Motywem przewodnim jest w niej kult męstwa, kult wykazanej w boju odwagi, choćby to męstwo, ta odwaga miała być instynktami drapieżnego zwierzęcia, idącego za popędem pierwotnych, nieokrzesanych porywów i namiętności, — a nawet demona ziejącego orkanem żywiołowego zła. Kult ten jest całkowicie bezkrytyczny i bez zastrzeżeń. Kto czytał staro-germańskie utwory epickie, np. Eddę, cykl Nibelungów, lub północne sagi, czy też choćby utwory Szekspira, do których poeta często czerpał motywy z ludowej, germańskiej poezji — ten dziwi

się niezmiernie owemu niewolniczemu i ślepemu kultowi, oddawanemu nawet zbrodni, byle ta zbrodnia przyobleczona była w pozory męstwa, w bezczelną, nieliczącą się z niczem zuchwałość i potężną energję. Kult ten jest tam posunięty aż do tego stopnia, iż nawet słabsi pokrzywdzeni oddają część demonicznemu bohaterowi — krzywdzicielowi, nie nienawidzą go i nie złorzeczą mu, a cierpią w podziwie i pokorze, jakby te cierpienia zadała im nieziemska siła zła (oczywiście poezja germańska nie jest całkowicie pozbawiona pierwiastków moralnych; posiada i ona swoistą „etykę wojny", sławi wierność sprzymierzeńczą i t. d.). W poezji starożytnych Germanów natrafiamy co krok na wyrafinowane,[1]) niesamowite zbrodnie, które im są niesamowitsze i straszniejsze, tem większe uznanie budzą dla się w poecie, który je opiewa. Gdy czytamy utwory Szekspira i opisane w nich niesamowite, dzikie — wprost piętno obłąkania noszące — zbrodnie, zdaje nam się, iż opisywał to jakiś obłąkaniec o patologicznem zboczeniu psychiki.

I oto tu tkwi istota owego czegoś, co tak uderza w poezji Słowackiego, nadając jej pewien pozór dziwaczności i niesamowitości. Słowacki bowiem niezwykle silnie nasiąknął [2]) pierwiastkami poezji germańskiej, z którą zapoznał się jednak raczej nie w jej najpierwotniejszej, najczystszej ludowej formie (choć wiemy, że Słowacki czytał Pieśni Osjana i skandynawską Eddę, która „odsłania nam życie pierwotnych, dzikich narodów germańskich w całem ich odrażającem okrucieństwie i zezwierzęceniu" [3]), — lecz przez dzieła Szekspira, które wywarły tak silny na Słowackiego wpływ, iż nawet zarzucano mu, że wszystkie swe większe utwory „wygrał palcami" tegoż właśnie poety na swej lutni wieszcza. I właśnie owe to niespokojne, kapryśne, zbrodnicze, wyrafinowane i dzikie pierwiastki w dziełach Słowackiego w szczególny sposób podkreślają *tragiczny koloryt* jego utworów, one sprawiają, iż odrzynają się te dzieła niezwykle kontrastowo od ogólnego tła utworów innych polskich poetów, którzy karmili się pierwiastkami ludowej, polsko-słowiańskiej poezji, pierwiastkami, nacechowanemi spokojną harmonją etycznego życia na łonie przyrody. I to jest owo pierwsze wrażenie, które odnosi czytelnik dzieł Słowackiego.

Stwierdzić trzeba stanowczo, iż najwybitniejsze dzieła Słowackiego są właśnie najbardziej przesiąknięte owemi pierwiastkami północno-germańskiemi, z któremi poeta zetknął się przy czytaniu potężnych dramatów Szekspira.

Szczególnie postacie kobiece rażą nas swemi szekspirowskiemi cechami; występuje tu bowiem nieznany słowiańskiej, ludowej poezji polskiej typ kobiety — jędzy, nawskroś zły, demoniczny, rozsiewający wokół siebie jad niszczycielski, znaczący swą drogę pasmem zbrodni. Kobietą taką jest właśnie „Balladyna".

Największy kontrast z polską poezją narodową tworzą w poezji germańskiej właśnie owe typy kobiet — demonicznych wiedźm. Ten typ jest bowiem słowiańskiej poezji ludowej całkowicie obcy, zupełnie nieznany. Kobietę Słowiańską cechowała zawsze czysta kobiecość; tkliwość, przyrodzona miękkość serca. Prawdziwą więc dla współczesnych sensacją były typy kobiet, wprowadzone do naszej literatury przez Słowackiego. Później i inni pisarze odtworzą ten typ, np. Kraszewski w „Starej Baśni" (żona Popiela). Wreszcie: dekadenci, jak np. Przybyszewski (postaci jednak w utworach Przybyszewskiego są raczej seksualnemi zboczeńcami, niż typami par exellence demonicznemi).

Także Rosa Weneda — mimo wysokiej swej etyczności, odpowiadającej jej wielkiemu posłannictwu — posiada wiele szekspirowskich cech kobiety — wiedźmy, o nadludzkiej potędze i nawskroś nieprzeciętnym charakterze. Takiemi szekspirowskiemi, czysto już germańskiemi, postaciami są wszyscy Lechici w „Lilli Wenedzie" — a szczególniej żona ich wodza.

Wogóle niektóre utwory J. Słowackiego przenika także owa ponura atmosfera grozy i przerażenia — nieodłączna towarzyszka świata zbrodni — tak charakterystyczna dla utworów staro — germańskich, — jak również i pierwiastek ponurej, chimerycznej fantazji, przejawiający się w ukazywaniu realnego krajobrazu ziemskiego w ponurym blasku, padającym nań z zagrobnego świata upiornych widm i chimer z brodniczych. Pejzaż w niektórych utworach Słowackiego malowany jest w skandynawskim, północnym kolorycie. W pejzażach tych są „pioruny [1]) i stalowe błyski" (np. „ponury krajobraz ołowiano ciężki, burzliwy i krwawy" z „Króla — Ducha").

Pewne fragmenty i zabarwienia szekspirowskie znajdują się nawet w takich utworach Słowackiego, jak: „Beniowski", „Sen srebrny Salomei", „Ksiądz Marek", „Złota Czaszka".

Lecz szczytowe natężenie tych pierwiastków germańskiej psychiki znajdujemy w „Królu — Duchu", gdzie sam temat, samo założenie, cała ideja przewodnia utworu jest wybitnie, rasowo germańska, całkowicie obca pierwiastkom słowiańskiej psychiki. W „Królu — Duchu" znajdują się całe

[1]) Np. takie wyrafinowane a) będące pospolitemi motywami w germańskiej poezji ludowej) pomysły, jak zręczne, niedostrzegalne zatrucie (dokonane przez Balladynę) kawałka bułki przez przekrojenie jej nożem, posmarowanym jadem tylko z jednej strony. W pewnej zaś wersji staro-germańskiego podania o Hamlecie, brat morduje śpiącego brata, wlewając mu jad w ucho.

[2]) Że na innych poetach polskich pierwiastki utworów skandynawskich nie wywarły tak silnych wrażeń i w konsekwencji tak decydującego piętna na ich utworach nie wycisnęły, jak to miało miejsce w twórczości Słowackiego — wytłumaczyć można szczególną wrażliwością tego poety. Takie bowiem wrażliwe natury silnie odczuwają ów wstrząsający tragizm i ponury demoralizm literatur staro-germańskich.

[3]) Według definicji dr. Konrada Górskiego.

[1]) Przytoczone w cudzysłowie uwagi znakomitego krytyka impresjonizmu, p. Jana Kleczyńskiego.

fragmenty, — całe pieśni, których treścią jest germański kult bohatera, będącego uosobieniem demonicznej mocy, o wybuchających, jak wulkany namiętnościach, — pozostawiającego po sobie dzieło zniszczenia: trupy i zgliszcza. Przykładem choćby ten wyjątek, obrazujący demoniczną zbrodniczość postaci króla — ducha:

. . . .

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I połamawszy miecza... w błyskawicę
Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nademną ducha mrok i złote świece
Miecza nad kitą moją purpurową,
Jak zawierucha olimpijska wstały —
Mój duch... na hełmie stanął... w ogniach cały.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
I szli, jak morze huczące zdaleka.
Stos wystawiłem okropny! książęcy!
Taki wysoki, że Wiślana rzeka
Na bladych trupów zatrzymana murze,
Stanęła — cała, jak upiór w purpurze.

Lecz pierwiej, nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!

. . . .

. . . .

„W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica
Z otwartą, szklanną źrenicą i suchą;
A ty — jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle, ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Że pieśń z tysiąca lat... chwilą... uczyni"

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
Upowić krwawym rycerskim sztandarem
I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem.
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną.
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

„Tam ją — krzyczałem — gdzieś na lodowiskach
Złożę, jako kwiat ujęty w krysztale!
I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale —
A sam z dzikimi orły na urwiskach
Dzikszy, niż burze, straszniejszy, niż fale,
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć! i ogniom pochłonąć!"

Tak mój duch w kształty się piramidalne.
Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą. —
Potem więc roki się zebrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał —
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi?
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi—
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady...

. . . .

(Z „Króla-Ducha". — XXVII — XLV).

Już ów motyw wprzęgania zbrodni w służbę idei, — uważanie zbrodni za środek do pełnienia szczytnych zamierzeń: duchowego przetworzenia narodu i uzdolnienia go do mesjanicznej misj dziejowej — zaczerpnięty jest tu z ideologji poezji staro-germ., tak charakterystycznej przez mgławicową mieszaninę dobra ze złem i pomieszanie pojęć o cnocie i występku.

Naturalnie pierwiastki wyżej omówione nie grają decydującej roli w utworach Słowackiego; rola ich jest (z wyjątkiem „Króla-Ducha") raczej podrzędna; jest to rola tła.

Dominującą rolę grają w poezji J. Słowackiego moralne pierwiastki, mające dźwignąć naród etyczi nie, oczyścić uszlachetnić go, uświęcić i przeto uzdolnić do odzyskania utraconego niepodległego bytu. One to są motywami przewodniemi poezji Słowackiego i nadają jej stateczną treść i potężną psychikę, wzbijającą się nierównie wyżej ponad ideologję poezji germańskiej. Niezmienia to jednak faktu, iż wpływ germańskich pierwiastków swoiście zabarwia pewne dzieła Słowackiego, nadając im z pozoru dziwaczny, fantastyczny i dziki koloryt, tak obcy duszy Słowianina.

Witold Zabłocki.

RUCH MUZYCZNY

Dn. 27 marca odbył się koncert symfoniczny pod dyr. Grz. Fitelberga. Jako solista wystąpił Józef Szigeti, wykonując koncert skrzypcowy d-moll Bacha i konc. e-moll Mendelssohna. Jest to wybitnie utalentowany skrzypek, posiadający niezrównaną technikę przy doskonałości brzmienia tonu W obu koncertach przejawił ów niczem nie dający się zastąpić talent wielkiego artysty, oczekiwanego i gorąco oklaskiwanego przez publiczność. W ujęciu poszczególnych części koncertu Bacha (Allegro, Andante, Allegro), jak i w całości, zachował styl Bacha, jego przedziwną, przewijającą się melodykę, prowadzoną kontrapunktycznie, której piękno nawet dziś nie przez wszystkich jeszcze jest rozumiane.

W programie: suita z op. „Wyzwolony" A. Wieniawskiego, „Chmiel" St. Wiechowicza, oparty na melodjach ludowych i muzyczna ilustracja obrazu z baletu „Miłość" Eug. Morawskiego.

W prowadzeniu koncertu Grzegorz Fitelberg dał jeszcze jeden dowód swego wyrobienia artystycznego w umiejętnem kierowaniu orkiestrą i jako sumienny dyrygent starannie przygotował chóry Konserwatorjum i Filharmonji, biorące udział w dziele symf. „Miłość", które mimo tak dobrego wykonania niczem się nie odznaczyło.

*
* *

Marja Wiłkomirska, której recital odbył się w sali Konserwatorjum dn. 28 marca, wykazała nieprzeciętną muzykalność i dużą technikę w wykonaniu tak trudnych rzeczy, jak np. toccaty c-dur Bacha lub „Petruszki" Strawińskiego. W tem ostatnim dobrze ujęła ilustrację muzyczną barwnego, rozkrzyczanego rosyjskiego jarmarku. O ile z całą umiejętnością odegrała piękną etiudę b-moll Szymanowskiego, o tyle dość niewyraźnie zarysował się Skriabin (sonata Nr. 9) i może niezbyt opracowany był Chopin (2 ballady, polonez-fantazja). Co do szczegółów wykonania Chopina, to ustaliła się już u nas pewna tradycja, ustanowiona przez naszych wybitnych pianistów, tradycja, która zaczyna nużyć, zgoła nie interesuje, a nawet zniechęca do programu, w skład którego wchodzą utwory Chopina.

*
* *

Popołudniowy koncert symfoniczny z dn. 29 marca mieścił w swym programie poemat symf. „Step" Noskowskiego. Jest to utwór wybitnie zaliczający się do muzyki programowej. Czuje się w nim wielką, wolną przestrzeń, rozległą ciszę, zawierającą jednak wewnętrzne życie stepu, ciszę, którą mącą od czasu do czasu jakieś przesuwające się przejawy życia (motywy wschodnie). Jest to dziwna, interesująca kompozycja, zamknięta sama w sobie, odrębna od innych utworów muzycznych.

Koncert c-moll Beethovena został odegrany przez młodą pianistkę, Marję Dońską. Pewna technika, doskonała równość rytmu w zespole z orkiestrą, świadczą o dobrej szkole i dobrych zamiarach tej utalentowanej i obiecującej pianistki. Możnaby zarzucić jedynie to, że zbyt mało dała energji w ujęciu Beethovena, a także trochę raziła nieobmyślaną różnicą w brzmieniu fortepianu i dobrze obsadzonej orkiestry. Marja Dońska wykonała jeszcze rapsodję op. 79 Brahmsa i „Davidsbündler tänze" Schumanna, zastosowując duży, ładny ton przy dobrem technicznem opracowaniu.

*
* *

Dnia 8 kwietnia odbędzie się w sali Konserwatorjum niezwykle interesująca audycja muzyki nowoczesnej z udziałem wybitnych artystów. W programie utwory z ostatnich kilku lat Maklakiewicza, Szymanowskiego, Ponce'a, Milhand'a i inn.

M. M.

KINO

„SERCE NA ULICY" jest poprawnym obrazem, nie wnoszącym jednak absolutnie nic nowego, chociaż miało wszelkie dane, by zostać pierwszorzędnym filmem. Jeśli się tak nie stało, winę ponosi tylko reżyser, gdyż reszta zespołu stoi na wysokości zadania. Steinwurcel zrobił tak świetne zdjęcia, że trudno uwierzyć, iż to ten sam człowiek tak niemiłosiernie psuł „Urodę Życia". Inż. Jacek Weinreich zaprezentował bardzo kulturalne i względnie nowoczesne wnętrza, które po zbrodniczych machinacjach dekoracyjnych p. Norvisa wydają się prawdziwem objawieniem. Aktorzy osiągnęli zupełnie niezłe rezultaty. Mimo to film jest tak niesłychanie nudny i pusty, że aż żal się robi tych wszystkich zmarnowanych wysiłków. Dziurą bez dna jest w tym wypadku scenarjusz, opracowany przez Gardana i Sterna na tle fragmentów „Serca na ulicy" Kiedrzyńskiego. Istotnie — trzeba chyba było wysiłku intelektualnego aż trzech osób, by stworzyć rzecz tak dziwnie nudną, mętną i wypraną z wszelkich wartości kinematograficznych, byłoby to bowiem zadanie stanowczo ponad siły jednostki. Począwszy od tytułu (dlaczego „Serce na ulicy", a nie np. „Wątroba na wywczasach"), a skończywszy na ostatniej scenie, wszystko mogłoby, a nawet powinno być zupełnie inne.

Prawdziwy FILM ujawnił się tutaj tylko dwa razy. Raz na samym początku, gdy na zupełnie czarnem tle zjawia się plama, która rośnie, okazując się reflektorem samochodu, poraz drugi podczas dość efektownego pościgu policyjnego. Cały kicz trzyma się zresztą jedynie kreacją Nory Ney. Artystka ta, swoją fenomenalnie ekspresyjną grą



Pabst twórca „Białego piekła" nakręcił film p. t. „Czwórka piechurów" według powieści Ernst Johansena. Powyżej reprodukujemy zdjęcie z tego filmu

trzyma przez cały czas widza w napięciu i jest jedynym powodem, dla którego nie opuszcza się kina przed końcem obrazu. Niestety próżnia treściowa zmuszała artystkę do wyrażania mimiką więcej, niż było to potrzebne. Tego rodzaju eksperymenty prowadzą aktora w destrukcję maniery. Byłoby wielką szkodą, gdyby Norę Ney zmarnowano nieodpowiednią reżyserją. Stępowski dał świetną sylwetkę przywódcy bandy. Nawet Sawan, bożyszcze pensjonarek, był wyjątkowo mało śmieszny. Ilustracja muzyczna Kataszka była poniżej wszelkiej krytyki. Kierownik literacki, p. Kończyc (napisy), powinien czemprędzej zmienić zawód. Uwzględniając wszystkie powyżej wymienione czynniki (+ czynnik polskości), wywnioskować należy, że film będzie miał kolosalne powodzenie.

Polskie filmy mają zawsze kolosalne powodzenie. Przez masowe zapełnianie kin, wyświetlających obrazy produkcji krajowej, publiczność chce zadokumentować, że będzie popierała twórczość rodzimą bez względu na to, czy posuwa się ona, czy cofa w swej linji rozwojowej. Metoda jest prosta i wielce znakomita, jeśli chodzi o wpędzanie pieniędzy do kieszeni producentów miernoty, lecz mocno wątpliwa w działaniu, gdy idzie o dopingowanie reżyserów do wydobywania z siebie maksimum wysiłku twórczego. Brak objektywnej krytyki (popieranej masami konsumentów) skłania twórców polskiej sztuki filmowej do pogrążania się w lenistwie i nieróbstwie. Film jest sztuką, zespoloną najściślej z kapitałem. Gdyby kiepskie filmy upadały, reżyserzy robiliby lepsze. Ponieważ nie upadają, zbędną rzeczą wydaje się wysiłek na budowanie nowych wartości.

Po subtelnem wycięciu całego szeregu „zbyt brutalnie antymilitarystycznych scen" (wyrażenie p. J. Wielopolskiej) oraz przy pomocy większej ilości napisów przerobiono na film dokumentarny, jakim jest „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN", na antyniemiecki. Nie leżało to chyba w intencjach twórców filmu, którzy omawiali poszczególne fakty realizacji z Remarque'em. Remarque zaś wyraźnie zaznaczył, że: „dzieło niniejsze n i e m a być oskarżeniem..." Bardzo dowcipne i pomysłowe rozwiązanie kwestji, niezbyt jednak właściwe.

To co pozostało po wielokrotnych przeróbkach i jest wyświetlane w trzech kinach, jako „Na zachodzie bez zmian", nie jest już filmem. Są to tylko fragmenty filmu, prawdopodobnie znakomitego. Reżyser Milestone przenosił dosłownie na ekran książkę Remarque'a i wykazał wiele kultury w zrozumieniu atmosfery opracowywanego przez siebie dzieła. Nawet aktorzy potrafili z dużą dozą inteligencji stworzyć zwykłych LUDZI Z TŁUMU, zapędzonych przypadkiem na front i stanowiących

tylko bezsilne, bezwolne marjonetki, kierowane ręką WOJNY, tej jedynej bohaterki dramatu.

Od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok (a nawet mniej). Szkoda, że Abel Gance, tworząc swój wielki film, zapominał o tem zbyt często, zawiesistością patosu gnąc się ku grotesce. Pomijam przeprowadzenie idei filmu „KONIEC ŚWIATA", jako rzecz nieistotną. Tendencja obrazu została możliwie dokładnie zatuszowana. We Francji film szedł bez fantastycznych przeróbek, być może na skutek interwencji ostatniego Don-Kichota idei paneuropejskiej, Brianda. Trudno jest uprzytomnić sobie w jakim stopniu został uszkodzony rytm montażowy „Końca Świata" i jego logiczne wiązadła, w każdym razie stwierdzić można z całą pewnością, że film jest grubo gorszy od innych dzieł Gance'a.

Dźwiękowo jest słaby. Asocjacje dźwiękowe nie istnieją. Fonetyczna charakterystyka scen nie zarybia się wzajemnie, jak kojarzenia wzrokowe. Robi to bardzo przykre wrażenie. Są sceny arcyznakomite jak panika, fragmenty obserwatorjum. Inne nie godne są wielkiego reżysera. „Orgja" w obliczu zbliżającej się katastrofy, jest poprostu zabawna, przypominając patetyczne i układne „orgje na dworze carskim", fabrykowane w filmach amerykańskich. Gance rozproszył się na fragmenty ze szkodą dla wartości kompozycyjnej.

Nowy film Sternberga „MAROKKO" nie jest specjalną rewelacją, ma jednak wszystkie znamiona sztuki wydobywania tragicznego akcentu życia, właściwe świetnemu reżyserowi. „NIEBIESKI ANIOŁ" był bezsprzecznie lepiej wystudjowany w swych tysiącznych szczegółach, lecz zato trudny do strawienia dzięki zawiłym komplikacjom psychologicznym (co jest wadą powieści Henryka Manna, na której został osnuty scenarjusz, a nie pracy Sternberga). „Marokko" jest pozbawione medytacji filozoficznych. Temat bardzo prosty. Aktorzy potrafili się dostosować do tej prostoty, wyzbywając się krzykliwego wybijania się na plan pierwszy własną kreacją, Marlena Dietrich jest bardzo ciekawem zjawiskiem. Szkoda tylko, że emanującą z niej atmosferę chłodnego erotyzmu starano się podkreślić przez zbytnie upodobnienie jej do Grety Garbo. Standaryzacja gwiazd na podobieństwo Wielkiej Grety jest jedną z manji Hollywoodu.

Sternberg starał się o wydobycie z atmosfery „Marokka" maximum doznań „upalnych" (wewnętrznych i psychicznych). Nastrój podkreśla dobre opracowanie dźwiękowe. Kompozycja jest logiczna i jednolita, szeregiem starannie opracowanych fragmentów składająca się na inteligentną i miłą całość.

Tadeusz Kowalski.

CO SŁYCHAĆ W POLSKIEJ KINOMATOGRAFJI.

Przewrót dźwiękowy był szkodliwym środkiem na frekwencję publiczności w kinach. Przez krótki okres czasu frapował „nowością", natomiast pozostawił nieuleczalne i szkodliwe objawy: muzykę i głosy gramofonu, które swą nienaturalnością denerwowały widza. Pierwsi amerykanie zorjentowali się w grożącem dla kinematografji niebezpieczeństwie, lecz nie mogli wrócić do „Wielkiej Niemowy", gdyż publiczność „zasmakowała" w emocjach dźwiękowych (lecz nie mówionych!) i pozbawienie ich równałoby się odebraniem narkotyku nałogowcom, dlatego też zredukowali tylko sceny z djalogami do minimum (najwięcej 25%) i resztę ilustrują muzyką. Powyższy przełom był dla polskiej produkcji nadzwyczaj szkodliwym, ponieważ wyprodukowano tylko dwa obrazy i to z obawy, że „postęp" w kinie przyniesie z zagranicy. Obecnie ustaliły mniej więcej formy dźwiękowca i nasi realizatorzy przystąpili bez obawy do pracy:

Nakręcona wersja polska filmu francuskiego **„Rekin"** jest już wyświetlaną w kinie „Filharmonja".

Reż. Bruno Bredszneider kończy montaż swego filmu **„Ludzie mroku"**.

Reż. Jan Nowina - Przybylski przystąpi do realizacji scen dźwiękowych do obrazu **„Krwawy Wschód"**.

W najbliższej przyszłości reż. A. Ford zacznie nakręcać **„Nieznajomą"** wg. scenarjusza A. Sterna. W rolach czołowych wystąpią: Nora Ney, Witold Conti i Kazimierz Justjan.

Wytw. „Blok" przygotowuje się do realizacji filmu historycznego pod tyt. **„Wykradzenie dziesięciu z Pawiaka"**.

Reż. H. Szaro wrócił z urlopu i w tych dniach zajmie się wyborem tematu dla nowego filmu.

Reż. J. Lejtes przystąpi w niedalekiej przyszłości do nakręcania **„Cyganerji Krakowskiej"** według scen F. Goetla.

Doniosłym faktem jest powstanie nowej, poważnej wytwórni „Wawel-film", która zużyła przeszło rok na prace organizacyjne i teraz, gdy są one na ukończeniu, przystępuje do realizacji pierwszego filmu. Będzie to obraz zakrojony na większą skalę, o charakterze monumentalnym. Tytuł, jak i obsada jest jeszcze trzymaną w tajemnicy. Po skończeniu tego obrazu, „Wawel-film" przystąpi do realizacji szeregu innych filmów w celu utrzymania ciągłości produkcji.

W. Jezierski.

P I E Ś Ń   S A R Y

(podł. „Faraona" — Prusa) napisał Józef Hartblaj

Gdzie żyje ów, coby nie miał troski,
Gdzie ten, co do snu skrywając powieki,
Mógł rzec, na świat ten spoglądając Boski:
„Otom dziś doznał szczególnej opieki —
Bez chwili smutku, bez smętku i żalu
Płynął dzień czysty, jak ziarnko opalu".

Gzie żyje ów, co w grób kładąc ciało,
Rzec mógłby: „Otom był ziemi tej szczęśliwym panem,
Życie mi trwogi, ni bólu nie dało —
Pogodnem było, jak zmierzch nad Jordanem".

Lecz ilu jest takich, co chleb swój codzienny
We łzach skąpany ciągle spożywają
I westchnieniami tylko los swój zmienny,
Jak smutku złego gościa, już zgóry witają.

Jak nędznym jesteś, o dumny człowieku,
Jak smętnym los twój ze łzawym uśmiechem,
Na ziemi twojej od stworzenia wieku
Płacz pierwszym głosem jęk ostatnim echem...

Strapienia pełen w życie wchodzisz z trwogą,
By z stąpić z żalem na spoczynku drogi
I kartę losu przeglądasz ubogą,
By jeszcze myślą przeżyć cały los złowrogi..

Gdzie żyje ów, co goryczy bytu
Nie zaznał nigdy, ni w kresu godzinie?
Czyż jest w nim dziecię, co w progu rozkwitu
Matkę swą śmierci daje i wnet z głodu ginie?

Gdzie ów, co jutra niewzruszonem okiem
Wygląda losu pewien i spokoju?
Czy ten co patrząc dżdżu, drżąc śledzi za obłokiem,
Lub ten, co bogactw swych niepewny przy rozboju?

Gdzie żyje ów, co lęk swój wyznał z duszy,
Jak zmorę złą, co ciągle ssie mu krew?
Czy ten, co mierząc w dzikie ptactwo z kuszy,
Spotyka lwa, by paść, nim zmarszczy brew?
Czy ten, co sławy szuka i podboju,
By znaleźć miecz, co łaknie jego krwi?
Czy król, co wrógów moc wciąż mierzy w niepokoju
I martwi się, a sąsiad z niego drwi?
I ze snu wciąż zrywając się trwożliwie,
Kotary szmer za zdrajców bierze krok,
By w końcu dni przeżywszy swe burzliwie,
Nie zaznać szczęścia choć przez jeden rok?

Więc czemuż wy dziwicie się tęsknocie,
Co w sercu nam o każdej porze drga,
Czy łachman ma, czy życie kąpie w złocie,
Człek nigdy, nigdy nie uniknie zła

W pustyni lew, skorpjony, smok i jadowita żmija,
W dzień sąsiad chciwy, nocą zbója dłoń
Czyhają nań, gdy z trudem je omija.
Od rannych lat, aż gdy siwieje skroń.

W dzieciństwa dni bez sił i niedołężny,
W starości mocy pozbawiony swej,
Gdy silnym jest — los czyha nań potężny,
By wykuć mu ścieżynę doli złej.

WŚRÓD KSIĄŻEK

„Namiętność“ — Opowieść wenecka. 1930 r. Stefan Grabiński, najznakomitszy polski pisarz fantastyczny, który dał naszej literaturze powieściowej utwory tak niezwykłe jak „Demon ruchu", „Na wzgórzu róż", „Szalony pątnik", Księga ognia, „Cień Bafometa", „Klasztor i morze", dramat „Willa nad morzem" — że wyliczę tylko najważniejsze napisał nowy cykl nowel p. t. „Namiętność".

W książce tej, podobnie jak w poprzednich, wprowadza nas autor w świat pociągający swym tajemniczym urokiem nie mniej niż grozą, którą budzi. Odsłania tajemnice, nad któremi zapewne niejednokrotnie przemyśliwał i które go, podobnie jak nas fascynują w pierwszej opowieści tomu, noszącej tytuł „L'Appassionata", akcja rozgrywa się w Wenecji. To przedziwne miasto miłości i najsłodszych pocałunków autor zna tak dobrze, że czytelnik, który choć raz je odwiedził bez trudu przypomni sobie czytając wszystkie jego piękności.

Czarowne kanały miasta dożów, spokojne lśnienie jego lagun, przejmujący urok krętych uliczek i zaułków są tłem na którem przeżywają pełnię swego miłosnego szczęścia donja Inez de Torre Orpega i młody, zakochany w niej Polak.

Nie długo jednak pozwala autor swym bohaterom być szczęśliwymi kochankami. Obłąkana Gina Vamparone, zwana Rotundą, zazdrosna o Adama, którego bierze za dawnego swego kochanka Giorgia, zabija Inezę sztyletem. Morderstwo to jest niejako zemstą Giny nad światem gniotącej ją, szaleństwem przyćmionej jawy. Niepowszednia siła literackiego wyrazu, z jaką odmalował autor niesamowitą tę postać, długo nie pozwala nam o niej zapomnieć.

Przewijający się niepokojąco przez wszystkie stronice „L'Appassionaty" wątek erotyczny, na podkładzie głębokiej zmysłowości oparty, przybiera tu mistyczne zabarwienie.

Następna nowela „Przypadek", to dzieje miłości Łunińskiego do żony. Miłość ta jest tak mocna, tak nie mogąca się mylić, że znajduje ścieżkę pewną przez niedostępne zazwyczaj bezdroża podświadomych przeczuć. Łuniński nie zdając sobie sprawy z tego, że odkrył zdradę swej żony, Stachy, zabija przypadkowo Kazimierza Zabrzeskiego, nie wiedząc w pierwszej chwili o tem, że był on Stachy kochankiem. Dopiero jej fotografja, znaleziona w kieszeni zabitego, staje się dlań dowodem, jak nieomylną drogą wiodła go tajemna siła najgłębszej intuicji czy genjuszu miłości.

Fantastyczne sny Stachy i jej męża w noweli „Pojednanie“ (dalszy ciąg „Przypadku“) są wyrazem ich tęsknoty i żalu za utraconą miłością. W snach tylko znajdują chwilowe ukojenie, upragnioną, a nie mogącą się już w życiu spełnić przemianę bólu, który ich dzieli, na słoneczną, szczęśliwą miłość,

Zdrady nie można zapomnieć. Ale można wznieść się ponad czychającą zewsząd, obcą i wrogą rzeczywistość, zbuntowanem przeciw powszedniości i przyziemności życia marzeniem...

Nowela p. t. „Projekt“ przykuwa naszą uwagę od pierwszej stronicy. Architek Śnieżko, miewa dziwne widzenia, ukazują mu się urzekające jego wyobraźnię zjawiska. Staje on nad przepaścią tajemnic, jemu tylko odsłaniających nikłe, dalekie światło swego wiecznego trwania. Próba rzucenia pomostu między człowiekiem żywym, a światem umarłych dawno istnień udaje się czychającym na zgubę architekta siłom. Śnieżko dochodzi do rozwiązania dręczącej go tajemnicy ale gorliwość swą życiem przepłaca.

Nowela ostatnia „Strych“ o podobnie wstrząsającem zakończeniu — to dzieje miłości młodziutkiego chłopca, który przypadkowo poziomemi, żelaznemi drzwiami strychu zabija ukochaną.

W całej tej książce miłość i śmierć nierozłącznie chodzą razem. Śmierć często bywa momentem kary, a rozkosz miłosna grzechem... W epoce dzisiejszej, w której obok zwolenników materjalizmu, spotykamy wyznawców najbardziej wybujałego irracjonalizmu rzeczywista wartość, sama istota sił nadprzyrodzonych wciąż jeszcze pozostaje niezbadanym problemem, dziedziną w której obracamy się z lękiem, ale i ciekawością. To też czytając książkę Stefana Grabińskiego czytamy nie odrywamy się od niej, ulegając czarowi wizji i mistrzowskiego słowa. Autor przemawia do nas z przejęciem człowieka wierzącego, i to jest zapewne tajemnicą uroku, który rzuca na czytelnika.

Janina Brzostowska.

Kazimierz Czachowski: Henryk Sienkiewicz. Obraz twórczości. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Literatura polska nietylko nie posiada poważniejszej monografji o Henryku Sienkiewiczu, ale nawet obszerniejszej pracy, w którejujętyby został w pewien system całokształt twórczości wielkiego pisarza. Prace krytyczne o twórcy Trylogji rozsypane są przeważnie po czasopismach i dziennikach, rzadziej spotkać je można w zbiorach studjów literackich. To też z radością witamy książkę K. Czachowskiego, dającą wszechstronny obraz twórczości Sienkiewicza w świetle dotychczasowych głosów krytyki polskiej, poprzedzaną portretem i życiorysem znakomitego pisarza.

W celowym i jasnym układzie zebrane zostały w książce głosy największych powag ze świata krytyki i literatury, że wymienimy kilka: Borowego, Brüknera (Brzozowskiego), Chlebowskiego,

Chmielewskiego, Chrzanowskiego, Gostomskiego, Grabowskiego, Gubrynowicza, Jeża, Kallenbacha, Kleinera, Korbuta, Kraszewskiego, Krzemińskiego, Lorentowicza, Matuszewskiego, Potockiego, Spasowicza, Witkiewicza, Wojciechowskiego, Zielińskiego, Żeromskiego, i w. innych. Artykuły zostały zebrane tak, iż z cytowanego krytyka dają one skończoną całostkę, bez żadnych opuszczeń i tego samego autora nie powtarzają. K. Czachowski nie unikał też sądów sprzecznych, jak również czerpał materjał z różnych lat, dla uzupełnienia zaś całokształtu obrazu, oraz celem sprostowania sądów, uznanych dziś za błędne, dodał w przypisach szereg wyjaśnień, mając jednak głównie na uwadze materjał rzeczowy i zrzadka tylko robiąc uwagi polemiczne.

Książka K. Czachowskiego o Sienkiewiczu mieni się wielką rozmaitością tonu i zapełnia poważną lukę w naszej literaturze, jako obszerne źródło wiadomości o wielkim pisarzu, tym. o którym powiedział niegdyś arcyb. Teodorowicz, iż „Polska zaklęta jego piórem, wyszła z osłon przeszłości z popiołów i gruzów taka żywotna, że żyć, czuć, działać poczęła w sercach dzisiejszych pokoleń, i krwią się stała krwi naszej i duszą naszej duszy!“

Zdzisław Dębicki: Sam na sam, prawdy — złudzenia Trzaska, Everst i Michalski.

Do bogatego dorobku poetyckiego, filozoficzno-społecznego i publicystycznego Zdzisława Dębickiego przybył nowy tom, zawierający w formie pseudo-powieści filozoficzne wyznanie wiary znakomitego autora. Jest to pamiętnik prowincjonalnego inteligenta, rzekomego dr. Pełki, złożony Dębickiemu przez jego syna. Czas pisania pamiętnika, obejmuje ostatnie lata ubiegłego stulecia, najcięższe dla Polaków lata niewoli pod jarzmem rosyjskiem. Dokoła tragedji polskiej i polskiego bohaterstwa oplata się wątek opowiadania, przesyconego żarem patrjotycznym, takim, jaki tlił w duszach wszystkich męczenników polskiej sprawy.

Bohater opowiadania jest dzielnym, pełnym ofiarności i zapału synem swej ojczyzny, bo takim jest autor książki. W miarę, jak zagłębiamy się w jej lekturę, jasnem się staje, że jednego od drugiego odłączać nie należy, że są oni zespoleni tak silnie, wspólną ideologją i tem samem zrozumieniem tragedji niewoli, iż stanowią jedną istotę, a ofiarne czyny bohatera, jego przeżycia i refleksje są czynami, przeżyciami i refleksjami samego autora. Czy on to, obcując „sam na sam“ ze swą duszą i z zaklętą w tej duszy przeszłością, odsłonił przed nami jej głębie, w których złotemi zgłoskami wyryte było słowo: Ojczyzna! czy z powagą mędrca zastanawiał się nad krwawą rzeczywistością polską owych czasów, czy wreszcie zanalizował z przedziwną trafnością sądu cały szereg kwestji, obchodzących wówczas każdego gorąco czującego polaka.

Ostatnia książka Dębickiego pozostanie trwałym dokumentem uczuć i myśli pokolenia, urodzonego w niewoli i świadectwem wysokiej miary kultury duchowej, nie dopuszczającej do tego, by człowiek był jedynie pasożytem i „zjadaczem chleba“, lecz starającej się ugruntować w nim świadomość wysokiego posłannictwa na ziemi, poczucie honoru, solidarności i dumy narodowej.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: Dramat w ojczyźnie, powieść. Dom Książki Polskiej.

Autor „Generała Maja” czuje się najlepiej w atmosferze wojny i niemal wszystkie jego utwory pisane są pod znakiem Marsa. Wątek ostatniej jego powieści stanowią dzieje Wichury, który przeżył epopeę wielkiej wojny i długie lata przebywał jako jeniec w kraju Zyrjańskim, uchodząc w ojczyznie za poległego. Podczas gdy Polską miotały wichry bojowe i zabłysła nad nią jutrznia wolności, bohater trawił czas na tęsknocie, upatrując możliwości powrotu do Ojczyzny. Losy zagnały go do Persji, aż wreszcie korzystając z pozwolenia władz angielskich, wyruszył w podróż powrotną do Ojczyzny. Gdy zjawił się na ulicach Warszawy, wrzała na nich walka. Zginął trafiony kulą karabinu maszynowego, ustawionego w oknie mieszkania narzeczonej.

Z temperamentem żołnierskim żywo i barwnie, bez ornamentyki stylistycznej, skreślił St. Wojtkiewicz sylwety i obrazy tej niedawnej przeszłości, a nieomylna trafność obserwacji a także znaczna bezstronność towarzyszy zawsze jego opisom i djalogom. Pod względem artystycznym „Dramat w ojczyźnie”, przewyższa wszystko to, co wyszło dotąd z pod pióra tego utalentowanego pisarza, jest tobodaj jedna z najlepszych powieści doby powojennej.

Stanisław Wasylewski: Twarz i kobieta, studja. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu.

Znakomity znawca epoki stanisławowskiej i polskiego rococa, Stanisław Wasylewski, zebrał studja z życia i obyczajów towarzyskich w Polsce w wieku XVIII w tomie p. t. „Twarz i kobieta”. Studja te ukazały się, parę lat temu, objęte tytułem „Portrety pań wytwornych”, a obecnie otrzymały nową, nader estetyczną szatę wydawniczą. Lekkiem, naginającem się do szlachetnej stylizacji piórem, ze swadą i dowcipem szkicuje tu autor „Romansu prababki” sylwetę „Sybilli z Puław” (Izabelli Czartoryskiej), oraz jej dumnej rywalki „Westalki z Arkadji” (Heleny Radziwiłłowej). W innym szkicu daje przedziwnie plastyczny opis zebrania masonek. W „Różyczce z Czarnobyla” zarysował tragiczny obraz Wielkiej Rewolucji, opis

stracenia na gilotynie „citoyenne Lubomirskiej", a stosunek Stanisława Augusta z p. Grabowską naszkicował w stylowym obrazku „Małżonka króla jegomości". Zamyka książkę wdzięczny portret Krystyny Radziwiłłówny, „ostatniego, najmłodszego, dziecka rococowych czasów".

Pełno w tej książce barwy, pudru, szminek, „muszek" i lekkiego jak mgła czaru XVIII-o stulecia. Portrety stylowych dam, jak żywe wychodzą z ram złocistych i zwierzają tajemnice swych salonów i alków intymnych. Należy jedynie żałować, iż książka nie została, zilustrowana portretami dam z czarownej, rococowej epoki, coby podniosło jeszcze jej artystyczny urok.

R.

ZEGADŁOWICZ

Czy poezja winna pozostać wypowiadaniem niewypowiedzianego, obrazem innego, pozawymiarowego, a jednak realnego świata, czy stać się tylko fotografją szarej rzeczywistości. Pierwszy rodzaj poezji, to poezja taka, jak ją pojmowano przed laty — to poezja jedynie prawdziwa. Drugi rodzaj to „poezja" dziś coraz modniejsza — poezja prozy codziennej—poezja „uprzemysłowiona".

Uprzemysłowić poezję. Cóż to znaczy? Pozbawić ją gwiazd, tęcz, uczuć. To znaczy dać w niej warsztat roboczy, dać napad bandycki, dać stragan w dzień rynkowy. Pytam: Naco komu taka poezja? Czy wiersz o straganie z głowami kapusty, wiązkami marchwi i cebuli wpłynie na bilans handlowy rynku?

A może taki wiersz wpływa na nasz smak estetyczny? Nie wiem.

Błyskami noży, kolorem krwi opisany napad bandycki—pogłębia nasz poziom moralny? etyczny? Wątpię. Dla straganów, maszyn, bandytów mamy inne rodzaje literatury. Czemuż niemi zapełniać poezję?

Poezją było najtańsze uczucie duszy i tylko to uczucie nią będzie.

Mówcie—co chcecie. Poezja, gra słów? O tak! Uczucie duszy jest grą, melodją słów cudną! Dusza ma być czystą. Czyste musi być słowo które tę duszę odsłania. Czyste musi być słowo, bo jest z najświętszych rzeczy człowieka.

Jest — wśród nas — człowiek-twórca, Stróż poezji.

Rozwija skrzydła coraz przemożniej, by lotem orłów tatrzańskich wznieść się nad szczyty. By śladem myśli Mickiewicza dojść słońca prawdy, stanąć wobec Boga — to Zegadłowicz.

Profesor, redaktor, kierownik literacki teatru, poeta, prozaik—Człowiek Mocny—wiary głębokiej w Miłość i Boga — uosobienie miłości. Człowiek prosty z ducha — ukochaniem gór — Beskidów — natury — prostych ludzi—przepoił Słowo. Następca Mickiewicza i Wyspiańskiego poprzez przyrodę, religję, dochodzi słowa: pojęcia Ojczyzna. Poprzez Ojczyznę — Boga. Czyż nie serdeczny a cudowny w swojej prostocie łańcuch dochodzeń?

Twórczość jest Zegadłowiczowi mandatem Boskim. A że twórczość jest dla niego rzeczą wielką, nie zasklepia się w tworzeniu rzeczywistości szarej, codziennej. Czując dany sobie mandat Boski, wznosi się Zegadłowicz do bezpośredniego mistrza swego — Boga, do mistrzyń — gwiazd, słońc i dróg mlecznych — z modlitwą, o podwojenie miłości, by tą spotężnionę przepromieniał, szczęśliwił świat, życie, ludzi.

O Boże, Boże —
pozwól mej wyciągniętej do Ciebie w pokorze
ręce, dotknąć Twej szaty i do warg przycisnąć,
i pocałunkiem długim na zorzy zawisnąć
i wyspowiadać ból mój i mękę ukoić — —
lecz, o Boże, tą łaską miłość chcę podwoić,
Chcę Ciebie zakląć serca uczuć bezgraniczem
byś ku Ojczyźnie mojej zwrócił się obliczem—

Czyż nie nachodzi nas tu wizja Improwizacji Mickiewicza? Ale Konrad to uosobienie pychy: Ja mistrz! On czuje się równym Bogu. Nie prosi, ale domaga się: rządu dusz. Czucie Zegadłowicza to myśl Ks. Piotra: pokora. Zegadłowicz poprzez pokorę, poprzez miłość serdeczną, prostą, czuje się wielkim i mocnym. Dzięki tej prostocie modlitewnej czuje się Zegadłowicz obcym w każej prośbie i westchnieniu religijnem ludu. „Powsinogi beskidzkie" to nie tylko jedne z najprostszych i najserdeczniejszych opowiadań, nie tylko jedne z najgłębszych studjów duszy człowieka prostego — „Powsinogi beskidzkie" to przedewszystkiem ustosunkowanie się poety religijne, modlitewne do Boga.

Już to łączność ciągła z Bogiem, z wiecznością, z dalą gwiazdną, przestrzenną, pełną tchu szerokiego jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech twórczości Zegadłowicza.

Idzie taki urwis beskidzki, powsinóg od chaty do chaty, z pokrzykiem bezustannym na ustach: okna szklić! — czy — garnki drutować! — idzie obdarty i zszarpany, niesie na ramionach niedolę swoją smutną, a oczy jarzą mu się drogą mleczną, a w sercu rozpieśnia mu się hymn na chwałę Boga i matki — ziemi. Już to bo taka jest modlitewność Zegadłowicza. Wieki niedolę i smutek, nie widzi i nie chce widzieć zła, występku i podłości.

Serce człowieka jest źródliskiem miłości. A że miłość jest twórczynią życia (życie jest Dobrem), serce człowieka jest czyste i szlachetne.

No tak. Są czasem chęci złe, pragnienia niedobre. Ale są one jako powiew wiatru, jak pył na kwiecie — zwiewne!

Życie jest Dobrem. Że wypełnienie dobra jest trudnem: Życie jest trudem.

Życie jest wypracowaniem,
Wznoszeniem siebie i innych,
I wypełnianiem miłosnem
Serca uczynków powinnych.

Taką jest twórczość Zegadłowicza. Jest wznoszeniem siebie i innych ku Bogu, w świat słońc, gwiazd i dróg mlecznych, w krainę Dobra i Piękna. Jest twórczość Zegadłowiczowi powinnością i koniecznością serca, jest wypełnianiem miłosnem celu, drogi życia. A cel, swoją drogę życia odkrył poeta poprzez liści zawiłość, poprzez szept paproci:

Poprzez liści zawiłość
Szepce paproć. to miłość.
Poprzez mszane kobierce
Szepce paproć: to serce.
Więc to!

Co chciałem przez swój szkic powiedzieć? Że trzeba więcej wiedzieć o Zegadłowiczu. Trzeba go czytać, trzeba się wsłuchać w rytm jego serca, w rytm pracy. Mówić więcej? Poco! Czytać. Oto wszystko.

Tadeusz Rogowski.

PRZEGLĄD CZASOPISM

W styczniowym zeszycie **„Pamiętnika Warszawskiego“** upomina się prof. Zieliński o „Prawo do parodji“. Posiadała je w pełni starożytna Hellada, jako ta, w której świadomości parodja, nawet najdoskonalsza, nie zabijała parodjowanego przedmiotu—nie zabijała dlatego, że sam przedmiot był kochany niezniszczalną miłością“ Hellada była jedyną, która prawdziwie kochała sztukę Offenbach, najwybitniejszy przedstawiciel współczesnej parodji, nie ujął nic z powagi i wzniosłości mytowi o wojnie trojańskiej lub Orfeuszu swobodnym śmiechem swej „Pięknej Heleny” lub „Orfeusza w Piekle“. Najudatniejsze parodje opery włoskiej nie odbiorą jej tej kardynalnej zasługi, że potrafiła rozwiązać problem zbiorowości w sztuce. Nie ten jest przyjacielem sztuki, kto ją odrzuca, zrażony jej parodją — ani ten, kto wypędza parodję, bojąc się postradać swą miłość—lecz ten, kto jednakowo się rozkoszuje dziełem sztuki i jego parodją, naturalnie w zależności od jej wartości artystycznej. Wacław Berent, ratując przed zapomnieniem niedawny okres dziejów naszej cywilizacji, ujmuje w formę opowieści. poprzedzonej wstępem, historję „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“. Zrodziła się ta opowieść z żałosnego rozpamiętywania pierwotnego przeznaczenia fundacji Staszica, owego pałacu jego imienia, który niegdyś, jako siedziba „Towarzystwa” był „przybytkiem Muz”. Dzisiaj, w Polsce niepodległej, gmach ten po „Wywłaszczeniu Muz” (taki tytuł nosi omawiany artykuł) gości jedynie naukę. Dużo się mówi dzisiaj o „Akademji Literatury”, podaje się wiele jej projektów, opierających się ściśle o wzory obce — a przecież Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie było niczem innem, jak taką właśnie Akademją „Nauk Pięknych”, do których zaliczano wszystkie sztuki piękne, więc i literaturę. Pocóż sięgać po obce wzory, mając własną tak świetną tradycję? W następującej po wstępie „opowieści” przesuwa się przed nami szereg postaci z „obiadów czwartkowych”, wraz z ich dostojnym gospodarzem, twórców „Królewskiego Towarzystwa”, które rozwijało potem swoją działalność pod panowaniem pruskiem i rosyjskiem, chroniąc jedyne dobro narodowe — kulturę. Początek opowieści poświęcił autor „poecie serca”, „śpiewakowi Justyny”, jako „Janowi Chrzcicielowi nowoczesnej poezji polskiej” — upominając się o cześć pozgonną dla poety, któremu za życia odmawiano godności i rycerstwa, bo śmiał się żalić na swe ubóstwo — a który przecież, gdy „los zmazał Polskę”, potrafił strzaskać swą lutnię na znak żałoby i życia dokonać w pustelni. Józef Jankowski składa hołd „Fryderykowi Mistral” w setną rocznicę urodzin, kreśląc sylwetkę tego poety z rodu „homerydów“ na tle słonecznej Prowancji, dawnej „Provincia Romana”, rozbrzmiewającej pieśniami trubadurów u stóp Awinjońskiego zamku papieży. Te wszystkie nuty dźwięczą w poezji Mistrala, który najbardziej ukochał lud prowansalski, tworząc jego epopeję w „Mireli“.

W dziale „Krytyki“ omówiona pożyteczna autologja liryki polskiej w układzie Borowego p. t. „Od Kochanowskiego do Staffa“, dalej: „Gdziekolwiek jesteś... Rozmyślania“ Antoniego Langego, „Legnickie Pola“, Kossak-Szczuckiej, „Prawo do miłości“ Rymkiewicza, wreszcie „Saga rodu Forsytów“ Galsworthy'ego. Krytyk zajął się specjalnie postacią Ireny, mającą w myśl intencji autora symbolizować czyste piękno — wykazując słusznie pewną sztuczność w idealizowaniu tej postaci, w istocie niezawsze sympatycznej.

Miło nam stwierdzić stały rozwój znakomicie redagowanego czasopisma, poświęconego sprawom kobiecym p. t. „Bluszcz“.

Dowodem żywego związku tego pisma z współczesnością jest zaznaczenie dwóch rocznic, przypadających pod koniec zeszłego roku, wydaniem numerów specjalnych w wyjątkowo starannej szacie. Numer listopadowy zajął się głównie rolą kobiet w powstaniu listopadowem. O znaczeniu tego faktu dziejowego pisze H. Naglerowa („Powołanie listopadowe“), dalej następują rozważania N. Ja-

strzębskiej na temat „Najtragiczniejszej wielkości w Polsce“, którą uważa M. Mochnackiego; fragment utworu scenicznego, osnutego na tle powstania listopadowego, p. t. „Wiatr“ Felicji Kruszewskiej; piękny wiersz H. Mortkowiczówny p. t. „Listopad“; sylwetka Emilji Szczanieckiej, zwanej „Czarną Panią“, współpracowniczki Klaudji Potockiej, pióra Z. Miszewskiej; „Opiekunki Sybiru“ A. Czartkowskiego; „Panna z ułanem“, szkic J. Kiewnarskiej, poświęcony Antoninie Tomaszewskiej, uczestniczce powstania; artykuł A. Wyleżyńskiej o emigracji popowstaniowej p. t. „Jaskółki wolności“; M. Kasterskiej „Emigracyjna mogiła“, wspomnienie poświęcone Klementynie z Tańskich Hoffmanowej, której zapomniany grób znajdzie się na Père-Lachaise w Paryżu. Zamyka numer artykuł „Powstanie listopadowe a sztuka polska“, ilustrowany licznemi reprodukcjami. Omówiono jeszcze kilka wydawnictw, związanych z listopadową rocznicą (Z książek“)—wreszcie „Nasza Mównica“ przynosi „Refleksje aktualne“ — paralelą między r. 1831 a 1914. Jeszcze ciekawiej przedstawia się podwójny numer, poświęcony stuleciu Romantyzmu. W artykule wstępnym Z. Pomirowski daje głęboką charakterystykę tego prądu duchowego. Uzupełnia ją N. Jastrzębska wskazaniem jakby powrotnej fali romantyzmu dzisiaj („Dawniej i dziś“); H. Mortkowiczówna dała nastrojowy wiersz p. t. „Łzy romantyczne“; J. Suchodolska mówi o „Pierwiosnku Romantyzmu“, „Malwinie“ ks. Marji Wirtemberskiej; A. Czartkowski wspomina najznakomitszą wirtuozkę—pianistkę Romantyzmu, Marję Szymanowską; H. Naglerowa mówi o burzliwem życiu i „tendresse“ romantycznej miłości „Madame Julie Krüdeuer“; „Romantyczną pamiątkę“ — lasek Maryli opisuje L. Podhorski—Okołów; nastroje paryskie odtwarza Felicja Kruszewska („Spacer po Paryżu“); ostatnie chwile Chopina wspomnienia A. Wyleżyńska („Błękitna nuta“).

Jakby „pendant“ do tego artykułu stanowi „Wyspa Majorka i wspomnienie pewnej zimy“ Wandy Germain, zamieszczony w 3 zeszycie b. r. feljeton, utrzymany w romantycznym stylu i wspominający o pobycie Chopina i G.Sand na Majorce.

Postacią „George Sand“ zajęła się J. Kiewnarska; do „Salonu romantycznego“ wprowadza nas Z. Miszewska; „Romantyzm w malarstwie“ przedstawiony zapomocą ciekawie dobranych reprodukcji; „O teatrze Romantycznym“ w Europie i w szczególności w Polsce mówi Stef. Podhorska—Okołów. „O Muzyce Romantycznej“ P. Lamowa. Nie pominięto nawet „Mody Romantycznej“ (W. Husarski) i „Minjatury, zadatku miłości romantycznej“; do „Dworu romantycznego“ pozwala nam zajrzeć Z. Kustke, po „Ogrodzie romantycznym“ oprowadza nas W. Dobrzańska; „Sprzęty w charakterze Biedermeier“ opisuje E. Szenwicowa. Nawet z „menu“ romantycznem zapoznaje nas Pani Elżbieta, a „Plotki romantyczne“ uzupełniają ten niezmiernie interesujący numer, który z rzadko spotykaną wszechstronnością odzwierciedla epokę romantyczną, ozdabiając ponadto każdy artykuł doskonale dobranemi ilustracjami.

Pożyteczny dwutygodnik **„Echo tygodnia“**, wychodzący pod redakcją W. Grubińskiego, stale zamieszcza na czele bystry przegląd polityki krajowej i zagranicznej, pióra K. Ehrenberga. W nr. 4. M. Gembarzewski mówi o wielkości i upadku „Rodu de la Grange d'Arguiesn“, z którego, jak wiadomo, pochodziła „królowa Marysieńka“. Panowie de la Grange, osiedliwszy się na stałe w Polsce, gdzie pod przemożną opieką królowej mogli folgować swym apetytom i ambicjom, niczem nie zaznaczyli swego udziału w życiu przybranej ojczyzny, poza ujawnieniem typowo francuskiej chciwości i intryganctwa.

Z. André omawia „Poezję Polski Odrodzonej“, autologję poetycką w układzie A. Galińskiego. Podnosząc z uznaniem metodę i wybór przedmiotu w wymienionej książce, nie wspomina jednak autor artykułu o innej, wzorcowej autologji poezji polskiej w układzie W. Borowego, która ukazała się w tym samym mniejwięcej czasie i może być wzorem tego rodzaju zbiorów. W artykule, poświęconym „Zwycięstwu“ Conrada, L. André słusznie podnosi niewspółmierność tej monumentalnej powieści z beznadziejną szarzyzną współczesnej powieści polskiej. J. Rewera daje szkic „Literatury religijnej we Francji“, T. Kończyc słaby i dość naiwny, rzecby można: starokawalerski wiersz „ze starych listów“; niewiadomo, jaki właściwie jest cel umieszczania podobnych utworów?

J. R. zastanawia się nad rosnącem wciąż znaczeniem Dostojewskiego i nad specyficzną etyką tego pisarza, który rozgrzeszał wszelkie zbrodnie swych bohaterów, o ile potrafili się wznieść ku prawdziwej skrusze. P. Hulka-Laskowski na marginesie książki H. Wereszyckiego p. t. „Austrja a powstanie styczniowe“ — rozwiewa złudzenia co do życzliwości, otaczającej jakoby powstanie styczniowe. Nr. 5 „Echa tygodnia“ przynosi poza przeglądem polityki wzmiankę o nowem wydaniu pism Leonarda da Vinci, dalej interesujące wspomnienia o „Gabryeli Zapolskiej“ p. Lucyny Kotarbińskiej. Artur Prędski zaznajamia nas z twórczością C. F. Ramuza, pisarza niesłusznie we Francji zapoznanego, obierającego przeważnie za tło swych powieści lud francuski. L. André i A. Hertz sygnalizują w łonie entuzjastycznym powieść E. Kisielewskiego „Doktór Paweł“.

Wzmożonemu dzięki 50-letniej rocznicy śmierci zainteresowaniu twórczością Dostojewskiego daje wyraz T. E., pisząc o „Rewolucyjnym cyklu Dostojewskiego“. Przegląd nowości wydawniczych dopełnia numer.

„Europa" przestała wychodzić. Bezsprzecznie jedno z czołowych pism, z którego przemawiały najśmielsze pióra Polski i zagranicy. „Europa" była jednem z nielicznych okien, przez które przedostawał się w naszą cokolwiek stęchłą atmosferę powiew zachodnio europejskiego powietrza, europejskiej myśli.

Pomijając ostrożnem milczeniem inne powody upadku „Europy" stwierdzić musimy, że głównym winowajcą tego upadku jest ogół czytających. W społeczeństwie, w którem właściciel poczytnej dziesięciogroszówki jeździ własnem autem zagranicę, a twórca pisma, stojącego na poziomie europejskim nie jest w stanie kupić butów za dochody płynące z wydawnictwa, w takiem społeczeństwie, powtarzam, „Europa" nie mogła się utrzymać. Odpowiedź, że dziesięciogroszówki mają swoich czytelników, a pisma poważne swoich, nie wystarcza. Otóż w Polsce koło czytelników prasy kolorowej jest niesłychanie wielkie, natomiast kółko czytelników pism na poziomie „Europy" jest niepomiernie, nawet na nasze stosunki ciasne.

Inteligencja zawodowa czyta wyłącznie pisma fachowe, lekarskie, prawnicze, techniczne. Jedynym łącznikiem jej ze światem jest „kurjerek". Jeżeli kiedyś nazywano nas społeczeństwem genjalnych dyletantów, to dziś wyzbyliśmy się może częściowo tego dyletantyzmu, ale jednocześnie i dawnej szerokiej skali zainteresowań. Czy to zjawisko dodatnie? Nie sądzę.

Stanisław Baczyński jest postacią zbyt nieprzeciętną, aby po upadku swej placówki miał zrezygnować z dalszej pracy. Zbuduje być może nowy gmach, aby ten znów runął pod ciężarem ogólnej ignorancji. Taka to syzyfowa dola polskich budowniczych.

Bohdan Gębarski.

Podajemy do powszechnej wiadomości że Kazimierz Librach nie jest obecnie naszym współpracownikiem i nic wspólnego z „F a l ą" nie ma. Gdyby korzystając z naszej legitymacji, której nie mogliśmy już od niego wycofać, zgłosił się do którego z naszych czytelników, uprzejmie prosimy powiadomić o tem Urząd Śledczy w Warszawie.

MYŚLI...

Serce to arfa i strun ma wiele
Struna miłości stoi na czele
Dzwięk ona wyda jasny i czysty
Ale pod dłonią dobrego artysty.

A. Krzepkowska.

REFLEKSJA.

Co to za siła śpiewać mię zmusza
Pędzi do czynu, rozprasza dumanie
W schnieniu jej niby w słońcu kwitnie dusza
A za krtań dusi mię łkanie

A. Krzepkowska.



M. TARDIEU

HUMOR ZAGRANICZNY

DZIWNA CHOROBA.

— Hrabina nie będzie nas mogła dziś przyjąć na obiedzie. Ma zajęte piersi.

— Przez kogo?

(Le Rire).

W BIURZE OGŁOSZEŃ.

— Proszę pana, córce mej skradziono gramofon. Chciałbym dać ogłoszenie o nagrodzie w wysokości 100 fr.

— Dla tego, kto znajdzie gramofon?

— Nie, dla tego, kto go zabrał.

(Le Rire).

NA EGZAMINIE.

Profesor: — Niech mi pan powie, co to jest A S_2 O_3?

Student: — Zaraz... zaraz... mam to na końcu języka.

— Profesor: — Niech pan to wypluje czemprędzej. Jest to arszennik

(Le Rire).

NA KORCIE.

Pani: — Lekarz powiedział mi, że właśnie nie powinnam grać w tenis.

Pan: — Ach! Więc i on grał już z panią!

(Le Rire).

PERPETUUM MOBILE.

— Dlaczego nie wracasz do domu?

— Ponieważ żona moja jest w złym humorze.

— Z jakiego powodu?

— Ponieważ jeszcze nie wracam.

(Passing Show).

DYGNITARSKA UCZYNNOŚĆ.

— Czy pan pamiętał o mojej sprawie, panie ministrze?

— Ależ, drogi panie! Przez cały czas o niczem innem nie myślałem! Ale—przepraszam—może pan będzie łaskaw przypomnieć mi swoje nazwisko?

(„Illustration").



POPIELEC.

Na powrót marnotrawnego ojca zarżnięto tuczonego śledzia.

(Simplissimus. Monachjum).



PRZEZORNOŚĆ.

— Wiesz, jutro zamelduję małego w Biurze pośrednictwa pracy. Być może, zanim dorośnie, znajdzie się dla niego zajęcie.

(Simplissimus. Monachium).

Redakcja i Administracja „FALI" mieści się przy ul. **Hożej 13 m. 7.**

Administracja czynna w dni powszednie z wyjątkiem sobót **od godz. 17 do godz. 20 w.**
Redaktor naczelny przyjmuje także w soboty (godz. 17 — 20).

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju kwartalnie **zł. 3,50**, półrocznie **zł. 7,00**, rocznie **zł. 14,00**
Za granicą: kwartalnie **75 cent.**, rocznie **3 dol.** Konto czekowe **24872.**

Redaktor naczelny **Bohdan Gębarski.**—Redaktor odpowiedzialny **Józef Palusiński.**—Wydawcy: **Bohdan Gębarski** i **Józef Palusiński.**

Druk. T-wa Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Elektoralna 18

INFORMATOR SĄDOWY

NA ROK

1931

WYDANY

Z UPOWAŻNIENIA PREZESA SĄDU OKRĘGOWEGO W WARSZAWIE PRZEZ NACZELNEGO SEKRETARZA TEGOŻ SĄDU KAZIMIERZA RUDZISZA

Informator zawiera telefony, ustrój i skład osobowy wszystkich urzędów wymiaru sprawiedliwości w okręgu Sądu Okręgowego w Warszawie, spis wszystkich notarjuszów, adwokatów, pisarzy hipotecznych, komorników w tymże okręgu, spis obrońców sądowych z Apelacji Warszawskiej, aplikantów adwokackich w Warszawie, wszystkich tłumaczów przysięgłych i biegłych sądowych przy Sądzie Okręgowym w Warszawie, taksy dla pisarzy hipotecznych i komorników sądowych w b. zaborze rosyjskim, taksę dla tłomaczów przysięgłych, oraz **najnowszy** spis ulic wielkiej Warszawy ze wskazaniem przynależności do właściwych Sądów Grodzkich, Oddziałów tych Sądów, rewirów egzekucyjnych i komisarjatów Policji Państwowej.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

WYDAWNICTWA „EUROPY":

Stanisław Baczyński

PRAWO SĄDU

Cena zł. 2.—

Stanisław Młodożeniec

NIEDZIELA

(POEZJE)

Cena zł. 2 gr. 50

Skład główny w „Domu Książki Polskiej"

Warszawa, plac Trzech Krzyży 8,

MIESIĘCZNIK
LITERACKO - NAUKOWY
P. N.
„FALA“

ŻĄDAJCIE „FALĘ”
WE WSZYSTKICH KIOSKACH, BUDKACH
I KSIĘGARNIACH, BO
ONA WAM PRZYNIESIE NAJPIĘKNIEJSZE NOWELE,
NAJCIEKAWSZE I NAJAKTUALNIEJSZE ARTYKUŁY
ZE WSZYSTKICH DZIEDZIN NAUKI I SZTUKI.
OGŁASZAJCIE W NIEJ SWOJE FIRMY,
BO „FALA” WSZĘDZIE DOPŁYNIE.

MIESIĘCZNIK
LITERACKO - NAUKOWY
P. N.
„FALA“